Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok V. Niedziela, dnia 20 czerwca 1937 r. Nr. 25

Chciałbym...



Barwne, jak maki, usta twoje,
Dziewczynko z buzią tajemniczą,
Chciałbym całować długo, czule
I się upijać ich słodyczą...

Gdybym je miał przy sobie blisko,
Dziewczynko moja ukochana,
Poczułbym, jak w mym młodym sercu
Cichnie tęsknota rozełkana...

Kocham i cenię cię nad wszystko,
Lecz się o jedno tylko boję:
Że mi zabierze jakiś rywal
Te najcudniejsze usta twoje...

Mieczysław Grzeg.rski

WOJCIECH HOLM

36)

Nienawiść a miłość

czyli tajemnica zamku Felseg

Potem zabrał wszystkie swoje manatki do czerwonej chusty, zażył szczyptę tabaki i poszedł powoli do składu drzewa Brinkmanna.

Kilka godzin czekał zanim zjawił się na rzece wspomniany parowiec.

— Czy to twoje drzewo? — zapytał kapitan okrętowy.

— Naturalnie, że moje — odpowiedział Sambo z dumą.

— Ile chcesz za to? — pytał kapitan okrętowy dalej:

— Dwieście pięćdziesiąt dolarów i wolną jazdę — odpowiedział Sambo w obawie, czy nie zacenił zbyt wysoko.

Ale kapitan zgodził się chętnie.

Natychmiast zajęto się przenoszeniem ładunku na pokład okrętowy, a Sambo wziął dwóch murzynów z parowca do swej chaty, by mu pomogli zanieść świnie na okręt.

Wobec tego, że kapitan nie byłby ani chwili czekał na niego, musiał się zgodzić na bardzo wysoką cenę za przeniesienie transportu.

— Hallo — zawołał kapitan, spostrzegając to — nie mówiłeś nic o tym, że chcesz przewieźć także ładunek świń na okręcie. Za to musisz osobno zapłacić.

— Ja panu mogę sprzedać te świnie — odpowiedział Sambo — nigdzie pan nie znajdzie takich pięknych i tłustych.

Kapitan pogardliwie kopnął świnie nogą.

— Ależ to skóra i kości — zawołał — krokodyle możesz nimi karmić.

— Wcale nie! — obraził się Sambo — są takie białe i delikatne, że ślinka idzie do ust. Gdyby tak kto umierał, a widział te świnie, toby się zbudził i powiedział, że ma apetyt na pieczeń z tych świń.

Certował się jeszcze przez dobrą chwilę, zanim się zgodził na tę dość małą sumę, którą mu kapitan zaofiarował.

Naiwnie pomyślał, że jest bogaczem.

Przy obiedzie zajadał tak łakomie, że pot kroplisty wystąpił mu na czoło, a potem postanowił sobie zawrzeć znajomości.

Znajdowała się na pokładzie murzynka około czterdziestoletnia, a taka gruba, że mogła była pokazywać się za pieniądze.

Suknię miała czerwono-zieloną, a żółty kapelusz z niebieskimi wstęgami, podnosił jej wdzięki.

W ręku miała czerwony bawełniany parasol.

Przyjemna ta niewiasta zwróciła na siebie uwagę Samba, który zbliżył się do niej z wdziękiem słonia.

— Nieźle tu jadać na okręcie — wszczął z nią rozmowę.

— Och, ja w domu lepiej jadam — rzekła murzynka z naciskiem.

— Ja chciałbym jadać razem z tobą rzekł na to Sambo — Ty mi się bardzo podobasz.



W Lasku Bulońskim, w Paryżu, odbyła się onegdaj oryginalna rewia, na której panowie popisywali się jazdą na bicyklach, które, jak wiadomo, są pierwowzorami dzisiejszych rowerów.

— Ty zaś mnie wcale — odrzekła murzynka bezlitośnie. — Masz podarte buty i surdut, musisz być biednym.

— Chyba nie masz oczu — odpowiedział Sambo obrażony — zapewnie nie wiesz, że ja kapitanowi sprzedałem cały las i stado świń.

— Spałam przez kilka godzin, to nie widziałam — rzekła murzynka z szacunkiem.

Sambo zauważył z zachwytem, jakie wrażenie wywołała jego blaga i zadzwonił pieniędzmi w kieszeni.

— Lubisz poncz? — zapytał.

— O, ja lubię poncz, nad życie! — odpowiedziała murzynka z zachwytem, i uwiesiła się na jego ramieniu.

Sambo nie był naiwny i poznał się zaraz na tych objawach łaski.

Zaprowadził ją przed bufet, kazał dać ponczu i popijając uważał za swój obowiązek opowiedzieć ubóstwianej towarzyszce, jaki jest chytry i w jaki sposób zarobił te pieniądze.

— O! ty dobre robisz interesa! — odpowiedziała murzynka z pełnym uznaniem dla jego bohaterstwa.

Ale słowa jego słyszeli także dwaj Amerykanie, którzy stali opodal.

— Słyszałeś, jak ta bestia się chwaliła, że oszukał dwóch białych? — zapytał jeden drugiego, gdy Sambo był już taki pijany, że spał, a towarzyszka jego wróciła na pokład.

— Słyszałem! — odpowiedział drugi — i namyślałem się, czy temu czarnemu diabłu rozwijać głowę, czy też go wrzucić do rzeki.

— Lepiej odebrać mu te pieniądze.

— Rozumniej byłoby, to prawda, ale on narobił tu krzyku.

— Tak nie myślę — odpowiedział pierwszy — zrobimy to tak, że on nam sam te pieniądze odda, i jeszcze nas będzie prosił, abyśmy przyjęli. Nie wiesz, czy dostał banknoty, czy złoto?

— Złoto!

— Hm, to gorzej! A nie masz kilkaset dolarów w banknotach?

— Śmieszny jesteś! — odpowiedział drugi — tak samo mógłbyś się zapytać, czy nie mam w kieszeni kościelnej wieży. Na cóż ci to?

— Opowiem ci, posłuchaj:

Przed kilkoma dniami zamordowano w Ohio żebraka, który z jałmużny złożył sobie wielki majątek — opowiadał Fred.

— Cóż to ma wspólnego z tym murzynem.? — zapytał Bill.

— Nie rozumiesz? Plan bardzo prosty. Przede wszystkim musimy skłonić tego murzyna, aby zmienił swoje złoto na pieniądze papierowe, a numery banknotów zanotujemy dokładnie. Potem będziemy udawali tajnych agentów, poszukujących zabójcę starego żebraka.

— Świetnie! — zawołał Bill.

— Żeby on się tylko zgodził na zamianę pieniędzy — mówił Fred — murzyni wolą złote pieniądze, niż banknoty. Musimy się teraz trzymać zdala od niego, aby nas sobie nie zapamiętał i do manipulacyj wstępnych zaangażować kogoś trzeciego.

— Jedzie z nami jakiś domokrążca, który zdaje się być bardzo przebiegły — objaśnił Bill.

Udali się natychmiast do niego i znaleźli go na pokładzie flirtującego z dziewczętami. Człowiek ten, który miał w domu żonę, kłótliwą jędzę i sześcioro dzieci, zapewniał właśnie swoje towarzyszki, że ma największy zamiar się ożenić, tylko, że musi wprzód zaopatrzyć dwie siostry, matkę i owdowiałą bratową.

— Czy te damy mieszkają w pańskim domu? — pytała go jedna z pań.

— Tak jest, w największej zgodzie zajmujemy dwa pokoje z kuchnią.

Wiadomość ta ochłodziła bardzo zapały niewiast chętnych do wydania się za mąż i opuściła go pod różnymi pozorami, tak, że Bill i Fred mogli się do niego zbliżyć.

Przyrzekli, że dadzą mu pięć dolarów, jeżeli nakłoni murzyna do wymiany złota swego na banknoty.

Domokrążca, który sprzedawszy cały swój towar, miał przy sobie kilkaset dolarów, lecz też tylko w złocie, poradził sobie w ten sposób, że zmienił je na banknoty u kapitana.

Fred odpisał sobie numera banknotów, ukłół się w palce i krwią poplamił jeden banknot, potem zachęcił domokrążcę, żeby się dobrze sprawił, a dostanie zaraz 5 dolarów.

— Już ja to zrobię — zapewniał ich kupczyk i poszedł szukać Samba.

Znalazł go jeszcze śpiącego na ławce przy bufecie. Bez ceremonii wziął go za kark i obudził.

Sambo zerwał się przestraszony.

— Co się stało? — zawołał.

— Nie wolno ci spać!

— Dlaczego nie wolno mi spać? — pytał osłupiały murzyn.

Bo jest na pokładzie złodziej, który ci może ukraść pieniądze.

Muszyn zląkł się i natychmiast chwycił się za kieszeń. Uspokoił się dopiero, gdy stwierdził, że pieniądze swoje ma jeszcze w kieszeni.

— Widzisz, ja jestem mądrzejszy niż ty — chwalił się kupczyk, ja mam także dużo pieniędzy, ale w banknotach, to nikt tego po mnie nie widzi.

Raz jeden chłopiec ukradł kilkaset dolarów i zaszył je sobie do kamizelki, potem jak go rewidowali to nic nie znaleźli i puścili go. Jak kto ma kradzione pieniądze, to najlepiej mieć w papierach.

— Ja nie mam kradzionych pieniędzy — odpowiedział Sambo z godnością — ale jakbym wiedział, że dostanę prawdziwe banknoty, a nie fałszywe, to wymieniłbym.

— Jeżeli mi coś darujesz — odpowiedział domokrążca — to ja ci zmienię.

Teraz Sambo zaczął go podejrzewać.

— Myślisz, że fałszywe? — zawołał kupczyk oburzony — bezczelne się robią teraz, te czarne łotry.

— Masz — zawołał, wyjmując setkę i rzucając mu ją pogardliwie — zapytaj stu pasażerów, czy nie jest prawdziwa.

Sambo pochwycił setkę i dziesięciu pasażerów, jednego po drugim pytał się, czy ta setka jest naprawdę prawdziwa.

Gdy już nabrał przekonania, że tak jest w rzeczywistości, zapłacił kupczykowi żądaną sumę i zmienił pieniądze na papierowe, które następnie zaszył do niebieskiej kamizelki.

Bill i Fred podglądali go przytem, ale on nie przeczuwał co się święci.

Zbliżył się do swojej ubóstwianej i spytał:

— Kiedy wysiadasz?

— A na co ci wiedzieć? — odparła.

— Bo ja wysiadam z tobą — rzekł czule.

— Nie można — odpowiedziała — ja jeszcze za młoda, żeby przyjmować panów. Zresztą syn mi nie pozwoli.

— Syn nic nie ma do gadania — zawołał Sambo — jak się pobierzemy, to ja ci sprawię czerwoną suknię jedwabną, a jego wyrzucimy.

Dama uważała to, zdaje się, za wielki dowód miłości i uradowana odpowiedziała mu już chętnie, że wysiada w Nowym Brunświku.

— I ja — zawołał ucieszony Sambo — a jak ty się nazywasz?

— Imię moje jest Aurora — odrzekła podstarzała donna.

— Słodka Aurora — cieszył się murzyn — chodź napić się rumu.

„Słodka Aurora“ zgodziła się na to chętnie i oboje zapijali się aż do czasu, kiedy parowiec zatrzymał się przy Nowym Brunświku.

Fred i Bill wysiedli już byli naprzód i czekali na zakochaną czarną parę.

Sambo prowadził narzeczoną — oboje kiwali się mocno i rozmawiali czule.

— Pokażę ci mój dom, świnie, kury i kukurydzę mojego syna — obiecywała Aurora.

— Jestem bardzo ciekawy i chciałbym zobaczyć te twoje świnie i kury — bełkotał Sambo — pewnie ci przynoszą zaszczyt.



Okna jej domu, Bóg wie jak dawno nie myte, były ozdobione czerwonymi firankami. — Sufit aż czarny był od brudu, kanapa podarta, przykryta małym dywanikiem, ozdobionym w kwiaty niemożliwych kolorów, krzesła zaś, niektóre nawet obijane, chwiały się bardzo na swych nogach.

Sambo olśniony był tym przepychem.

— Bardzo ładnie mieszkasz — rzekł z prawdziwym podziwem — ja muszę się koniecznie z tobą ożenić.

Nagle usłyszał drwiący śmiech.

Obrócił się i zobaczył na łóżku wyciągniętego, może dwudziestokilkuletniego murzyna.

Był to syn Aurory.

— Co to za urwisza stara sobie przyprowadziła — zawołał — zabieraj się stąd natychmiast, ty żebraku, bo cię wyrzucę.

— Nie jestem żebrakiem — odpowiedział dumnie Sambo — jestem bogaty. Sprzedałem dwa lasy i dwieście świń.

— To prawda, stara?

— Prawda, — odpowiedziała Aurora.

— To czemu on sobie nie sprawi porządnego garnituru?

— Mój synu, my żyjemy w lasach, a tam nie ma krawca ani szewca.

— No, mnie wszystko jedno — zawołał młody murzyn — ale nim zostaniesz moim ojczymem, pokaż mi pieniądze.

— Zaraz ci je pokażę — odpowiedział dumnie Sambo.

W tej chwili zapukał ktoś do drzwi, i nie czekając odpowiedzi, wszedł:

Był to Fred i Bill.

Pierwszy z nich przystąpił do Samba i kładąc mu silnie rękę na ramieniu, zawołał:

— W imieniu prawa aresztuję cię.

Sambo zbladł i zaczął się bronić:

— Ja jestem bardzo uczciwy, ja nikomu nic nie ukradłem.

— Znamy cię, ptaszku — wołał Bill.

— A cóż on uczynił? — zapytał obojętnie młody murzyn.

— Zabił w Ohio bogatego żebraka — odparł Fred — Marka Sumerseta.

Sambo osłupiał ze zgrozy. Aurora krzyknęła przeraźliwie, a syn jej przypatrywał się wszystkiemu obojętnie.

— Ależ ja nigdy nie byłem w Ohio — protestował Sambo.

— Kłamiesz! — zawołał Fred — myślisz, że dwaj agenci, którzy jadą z tobą z Ohio aż do Nowego Brunświku, dadzą ci się okłamać? Zrabowane u zamordowanego pieniądze masz przy sobie, jeśli nie w trzewikach, to w kamizelce. Zaprowadzimy cię do sędziego i tam zostaniesz natychmiast powieszony. — Bill, dawaj kajdanki.

— To są moje pieniądze — płakał Sambo — dostałem je po moim dziadku.

— Kłamiesz — odparł Fred — najlepszym dowodem będzie to, że Marek Sumerset zostawił spis swoich banknotów. Łatwo dowiedziemy, czy są identyczne ze zrabowanymi.

— Aurora, tyś widziała, jak mi kapitan dawał pieniądze za drzewo i świnie — powoływał się Sambo na narzeczoną, ale Aurora była ostrożna.

— Ja nic nie widziałam — rzekła.

— Nic ci nie pomoże bratku — rzekł Fred — ściągaj buty.

Zrewidowali mu dla pozoru trzewiki i surdut, a potem dopiero zażądali kamizelki.

Murzyn zawył żałośnie i rzucił się do ucieczki, ale oni przytrzymali go gwałtem i ściągnęli z niego przemocą kamizelkę, a niewierna Aurora sama podała im nóż do rozcięcia.

Naturalnie natychmiast znaleziono pieniądze, a na widok zakrwawionego banknotu Bill zawołał radosnym głosem:

— Oto krew nieszczęśliwej ofiary! Czyż wobec tego śmiesz się jeszcze zapierać, zbrodniarzu.

— Ładnego kawalera przywiozłaś sobie, stara — śmiał się z Aurory własny syn — on jeszczeby nas był zamordował.

— Ja uczciwie zarobiłem te pieniądze — bronił się Sambo — ja tylko pani Brinkmann odpłaciłem się za to, że zamiast lekarstwa, dała mi truciznę. Ja te pieniądze dostałem od kapitana.

— Od jakiego kapitana? — zapytali rzekomi agenci — jak on się nazywa?

— Ja nie wiem — jęczał Sambo.

— A na jakim okręcie?

— Nie wiem, ale ja jestem uczciwy — bronił się oszukany oszust.

— Dobrze, dobrze — przerywał mu Bill — wiemy już, jakiś uczciwy. Umiesz czytać?

— Nie — jęczał Sambo.

Fred, czytaj mi numery banknotów.

Zaczęli porównywać banknoty ze spisem numerów, które mieli w kieszeni i wszystko, naturalnie, się zgadzało.

— Widzisz zbóju! — rzekł Fred — dowody są niezbite. Teraz jeszcze prze-



Wraz z nadejściem lata rozwinęły się wspaniale wszelkie sporty wodne. Największe jednak powodzenie mają żaglówki, których widzimy pełno na powierzchniach wód

szukamy, czy nie masz więcej kradzionych rzeczy.

Syn Aurory podał im zawiniątko i pierwsze co z niego wyciągnęli, były poplamione krwią spodnie.

Krew Marka Sumerseta, która woła o pomstę do nieba! — zawołał Bill.

— Niech ja zapadnę dziesięć mil głęboko w ziemię, jeżelim kiedy w życiu widział jakiegoś tam Marka Sumerseta — piszczał murzyn przeraźliwie. — Ta krew na ubraniu moim, to jest krew z wieprzy, które zarzynałem przed moim wyjazdem.

— Możesz swoje wszystkie kłamstwa powtórzyć przed sędzią pokoju — odparł Bill, — to znaczy, jeżeli wogóle do niego się dostaniesz.

Więcej niż dwunastu poczciwych chłopów z Ohio przysięgało, że zemszczą się na mordercy biednego Marka. Będziemy zatem mieli w Ohio gorące przyjęcie!

— Powieszą go niezwłocznie na najbliższym drzewie! — zapewnił go Fred z uśmiechem. — Są drzewa nadające się wybornie na szubienicę.

Sambo ryknął w głos. Szlochał, zawodził i zaklinał, że jest niewinny.

— Znamy się na tym! — zawołał Fred.

— Można zapytać się kapitana — zaczął znów Sambo.

— Czy sądzisz, że będziemy dla ciebie zatrzymywali każdy parowiec przejeżdżający po Mississippi po to, aby się dowiedzieć, żeś nas haniebnie okłamał? — przerwał mu Fred. Nie, mój chłopcze! Nie damy się wyprowadzić w pole.

Jeśli naprawdę jesteś właścicielem fermy, to pojedziemy z tobą do twej posiadłości i zobaczymy, czy cię czeladź tam pozna jako swego pana! Jak się nazywa twoja ferma?

— „Szczęście i błogosławieństwo"! — odrzekł zawodząc murzyn.

— Dobrze, pojedziemy więc tam natychmiast — rzekł przypuszczalny detektyw.

Lecz perspektywa zobaczenia się oko w oko z Brinkmannem i panem Mayerem, nie przypadła Sambie do gustu. Poczekał więc chwilę, w której obaj prześladowcy spuścili go z oka i uciekł, biegnąc co sił.

Fred, wsadziwszy banknot do kieszeni wydał głośny okrzyk i począł wraz ze swym towarzyszem gonić przez chwil kilka zmykającego murzyna. Ale Bill, który biegł o kilka kroków naprzód, odwrócił się i rzekł do Freda:

— Niech ucieka!

— Oczywiście! I tak nie wiemy, co z nim począć — odpowiedział Fred. — Chodźmy do miasta i podzielmy się banknotami.

Tymczasem Sambo pędził dalej, jakby gnany furiami. Wreszcie tchu mu zbrakło i padł ze zmęczenia gdzieś w otwartym polu.

W kieszeni nie miał ani jednego złamanego szeląga, ani okruszyny chleba, aby głód swój zaspokoić. Zawiniątko swoje zostawił w chacie Aurory, a całym jego majątkiem były gałgany, w które był odziany.

Dręczony głodem, trzęsący się z zimna, przeleżał Sambo noc tę w otwartym polu.

Gdy dnieć zaczęło, zawlókł się do najbliższej, samotnie stojącej fermy, prosząc o posiłek. Zjadłszy podaną mu strawę, wybrał się niezwłocznie w dalszą drogę. Nie miał bowiem odwagi pozostawać tu dłużej.

Tygodniami włóczył się po kraju o proszonym chlebie, aż wreszcie wynajął się w pewnej restauracji do mycia naczyń.

Od rana do późnej nocy mył talerze, filiżanki i szklanki, szorował garnki i brytwanki, czyścił widelce i noże.

Jakże tęsknił za słodkim życiem, któremu się oddawał we fermie!

Adam i Ewa nie mogli żałośniej wspominać raju utraconego, jak Sambo pobytu swego we fermie „Szczęście i błogosławieństwo Boże".

Lecz skrucha przychodziła za późno. Nie miał odwagi wracać tam, dopóki nie był zupełnie pewnym, że Brinkmannów i Majera już nie ma na brzegach Mississippi, a nie wiedział, w jaki sposób dowiedzieć się o tym.

ROZDZIAŁ CXXXII.

Więzień zamku Felseg

Wróćmy do nieszczęśliwego hrabiego Wernera, mili czytelnicy.

Napój usypiający, którym Alojzy uraczył swego więźnia, był tak silny, że biedny hrabia Werner, ocucił się dopiero po wielogodzinnym śnie.

Zmieszany rozglądał się wokoło i po chwili spostrzegł z przerażeniem, że znajduje się znów w starym swoim więzieniu, gdzie nie było żadnych widoków na uwolnienie, chyba cudem.

Gdy oko jego przyzwyczaiło się znowu do ciemności, spostrzegł na ścianie słowa wypisane przez Maksa Zierbolda.

— Najpiękniejsze niebieskie oczy płakały nade mną — powtórzył smutnie — ach, Sylwio, Sylwio, kiedyż cię znów zobaczę!

W chwili, gdy zadawał losowi to pytanie, usunęła się kamienna płyta, a w otworze ukazała się piękna twarz Ilony.

— Czy mogę panu czymś usłużyć, panie hrabio? — zapytała przymilając się.

— Alojzy poszedł do miasta, aby zakupić zapasy żywności, a my oboje jesteśmy zupełnie sami na zamku.

— A dlaczegoż Alojzy nie posłał Ignacego do miasta, tak jak to zwykle czynił? — zapytał hrabia Werner.

— Ach, ten biedny chłopak oszalał kompletnie — odrzekła Ilona z udanym współczuciem. — Zmienił się do niepoznania. Niech sobie pan hrabia pomyśli, że ten biedaczyna chciał razu pewnego pobiec do obozu i aby oszczędzić na czasie i skrócić drogę, wybrał najkrótszą ponad przepaścią. W pośpiechu pośliznęła mu się noga. Stoczył się w przepaść i z trudem tylko uratowano go, ale obawa i okropny przestrach, pomieszały mu rozum.

Nie wspomniała jednak o tym, że belka, służąca za mostek nad przepaścią, była przerżnięta piłą, bo obawiała się, że Werner zaraz odgadnie współudział jej w tej nieczystej sprawie.

Teraz wiedział Werner przynajmniej dlaczego Ignacy wtedy do niego nie wrócił. Przeczuwał jednak, że to Ilona przeszkodziła chłopcu w akcji ratunkowej, a jego wstręt do cyganki wzrósł jeszcze bardziej.

— Co sobie pan hrabia życzy na śniadanie? — zapytała wreszcie Ilona, aby zwrócić niemiłą rozmowę na inne tory.

— Wszystko mi jedno, co jem — odpowiedział hrabia.

— Ja bym tak panu hrabiemu chciała dogodzić — przymilała się cyganka.

— Okazałaś to najlepiej tym, żeś pomagała Alojzemu przetransportować mnie znowu do tego okropnego miejsca — odparł Werner z goryczą.

— Ach, panie hrabio, nie mogliśmy przecież narazić pana na zamarznięcie — broniła się bezczelna cyganicha.

Było tak strasznie zimno w tej nędznej chacie, że ciągle się obawiała, iż

zastanę tam pana hrabiego kiedyś zmarzniętego na śmierć.

— Gdyby się tak było stało — odparł nieszczęśliwiec — byłoby to tylko zbawieniem dla mnie. Wolę sto razy nagłą śmierć, niż to okropne więzienie. Tu nie mam ani żywej duszy wokoło siebie, a tam w chatce przynajmniej miałem wesołą, małą myszkę za towarzyszkę niedoli.

Tu nie widzę nawet nieba, a tam bardzo często zrywał wiatr część gałęzi sosnowych, które tworzyły dach. Mogłem oddychać świeżym powietrzem i widzieć przesuwające się chmury po niebie.

— Wszystko jest w pańskiej mocy — odrzekła Ilona z ogniem. — Niech mnie pan uczyni swoją kochanką, a będzie wolny natychmiast.

— Nie — odpowiedział hrabia — raczej wolę zginąć w tym więzieniu, niż sprzeniewierzyć się swej narzeczonej.

Ilona nie traciła nadziei. Obiecywała sobie, że cierpliwość dokaże wszystkiego, a hrabia Werner nareszcie ulegnie.

A teraz odeszła, nie zasuwając płyty.

Werner słyszał trzask ognia płonącego na kominku, lecz nie mógł się przy nim zagrzać, mimo, że to wszak było tak blisko.

Do pokoju bowiem, w którym był komin, mógł się dostać tylko przez drabinę, a ta była podciągnięta.

Za pół godziny wróciła Ilona i rozkazała, aby wszedł do łóżka, bo ona musi spuścić kratę.

Hrabia usłuchał, ale wsparł się tak o poręcz łóżka, że krata zatrzymała się na niej. Lecz Ilona zauważyła to.

Panie hrabio! — zawołała — robi pan rzecz bardzo niebezpieczną, bo krata jest bardzo ciężką i może panu połamać nogi.

Werner cofnął nogi, krata spadła, a Ilona spuściła drabinę i przyniosła mu na dół garnuszek żarzących węgli.

Potem poszła znowu na górę i wróciła z tacą, na której było śniadanie dla Wernera. Na środku tacy stał flakonik, w którym był ładny bukiecik z zielonych traw, gałęzi i czerwonych jagódek.

Postawiwszy tacę na stół, wspięła się znów po drabinie na górę, pociągnęła ją za sobą, podniosła kratę i zawołała:

— Smacznego, panie hrabio! Sporządziłam panu śniadanie w pańskim guście, przypuszczam.

Werner nic nie odpowiedział, ale straszne pragnienie zmusiło go do skosztowania gorącej, pachnącej aromatycznie kawy.

Chciałam panu jeszcze kilka kwiatów przynieść, panie hrabio — mówiła Ilona dalej klęcząc u góry nad kratą i spoglądając na Wernera — ale nie mogłam na prędce znaleźć nic kwitnącego i musiałam się zadowolić samą zielenią. Jutro jednak przyniosę panu już kwiaty i pańską małą myszkę, którą złapię w chatce.

Zostaw biednemu zwierzątku wolność, ty nie wiesz nawet, jak to jest okropnie być więzionym! — zawołał Werner żałośnie.

— Ależ, jeżeli takie zwierzę dostaje dobre jedzenie, to nie odczuwa zupełnie braku wolności — zapewniała go Ilona — w chatce myszka nie może przecież zostać, bo zgłodniałaby tam. Dotychczas pan rzucał jej okruszyny, panie hrabio i nie znała głodu, ale teraz nie znajdzie tam więcej pożywienia dla siebie. Niech pan nie będzie taki sentymentalny panie hrabio. Pan nawet nie słyszy, co ja mówię i wygląda pan jak we śnie.

— Czy myślisz, że mógłbym się śmiać i żartować z ciążącą mi na sercu troską o moją narzeczoną. — Mój śmiertelny nieprzyjaciel postara się już oto, aby i ją zgubić. Dolegają mi tysięczne troski, bo przedstawiam sobie na jakie niebezpieczeństwa Sylwia jest narażona, a świadomość, że nie mogę jej obronić przygnębia mnie do reszty.

Niech się pan uspokoi, panie hrabio — uspokajała go Ilona — pan baron wyjechał ze swoją młodą żoną w podróż poślubną i jest teraz bardzo daleko stąd.

— Czyś widziała może kiedyś pannę Herbert? — zapytał hrabia uspokojony w części tylko zapewnieniami cyganki.

Ilona zawahała się przez chwilę, czy ma mu całą prawdę powiedzieć, po tym rzekła powoli:

— Jakżesz ją mogłam widzieć, kiedy jej tu nie ma.

— Nie ma jej? — krzyknął hrabia z przerażeniem. — Gdzież ona?

To jest długa historia, — odpowiedziała cyganka. — Pewnego dnia przybył do leśniczówki jakiś przystojny mężczyzna i został tam przez czas jakiś. Z nim to panienka zawiązała znajomość i znikła bez śladu, zostawiając leśniczego i żonę w bezradnej rozpaczy.

— Kłamiesz! — zawołał Werner pogardliwie — nie wierzę ci ani słowa!

— To niech się wielmożny pan zapyta Alojzego — odparła Ilona spokojnie — on moje relacje potwierdzi.

— Czy myślisz, że się tak dalece poniżę, aby pytać o tę sprawę? — zawołał hrabia z pogardą — moja narzeczona wyższa jest nad takie zarzuty!

Dobrze, że pan hrabia tak myśli — odparła Ilona z pozorną uprzejmością. — Niestety znajdzie pan później dowody niewierności swej kochanki. Dziś pogardza pan czarną cyganką i jej miłością, ale przyjdzie czas, w którym się pan przekona, że kochał fałszywą zdradliwą żmiję, a podeptał nogami jedyne wierne sobie serce.

— Wierne serce, które bezustannie myśli o swojej korzyści, — drwił gorzko hrabia.

— Wyszydza mnie pan, dlatego, że chcę zostać pańską żoną — krzyknęła Ilona blada ze złości — a przecież pana uwielbiana narzeczona dąży do tego samego celu, co ja!

— Co za bezczelność porównywać się z moją narzeczoną! — zawołał hrabia z niechęcią — Sylwia o całe niebo wyższą jest od ciebie!

Nie będziemy się o to sprzeczali, panie hrabio — rzekła Ilona ostro. — Mówię, że miłość oślepia. Udam się teraz do chaty nad wodospad, aby wystawić pułapkę na myszy. Aby dać panu dowód życzliwości zostawię drzwi otwarte. Niech się pan cieszy światłem dziennym.

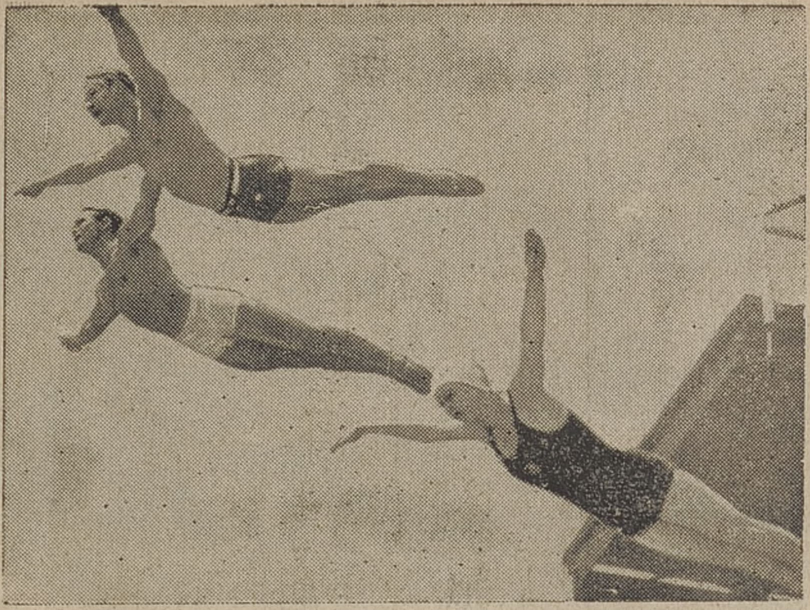
Jeżeli naprawdę masz trochę życzliwości dla mnie — błagał Werner — to wypuść mnie na wolność.

— Tak, żeby pan później zaślubił inną! — zawołała Ilona z goryczą — przenigdy!

Oddaliła się.

Werner patrzył za nią i z tęsknotą rozglądał się, czy nie ma gdzie drabiny, która by mu ułatwiła ucieczkę.

Ale naprózno. Więzienie jego było otwarte, a on nie mógł umknąć. Twarz blada, okolona długo niestrzyżonym zarostem, była wychudła, a ruchy z powodu skrępowania kajdanami w chacie, stały się ociężałe i jakby senne.



Klasyczne skoki z trampoliny słynnych pływaków amerykańskich



Zamiast eleganckiej swojej garderoby, nosił już niezgrabne łachmany swego dozorcy. Gdyby go w tym stroju zobaczył ktoś ze służby dworskiej nie poznałby z pewnością.

Po upływie pół godziny, wróciła Ilona, ale Werner taki był zamyślony, że nie zauważył jej obecności.

Alojzy zaś niemiłosiernie pobity i ciężko raniony w głowę, leżał w szpitalu.

Wybrał się do miasta po prowianty, bo od czasu jak Ignacy zachorował, załatwiał to zawsze sam, ale, że musiał chodzić regularnie raz na tydzień i spotykać ludzi, których nienawidził, myśląc, że zawsze palcami na niego pokazują, więc bardzo był z tego składu rzeczy niezadowolony.

Pewnego razu powiedziała mu gadatliwa piekarka:

— Widzę Alojzy, że ci chleb smakuje! Jadasz teraz za dwóch.

Od tej pory chodził do innego piekarza.

Nigdy też nie wstępował do karczmy, a wódkę kupował w składzie.

Tak też zrobił teraz.

Wracał opakowany do domu, i na drodze spotkał trzech znanych kłusowników. Odzież ich podarta wskazywała, że znajdowali się w bardzo przykrych warunkach finansowych.

— Alojzy idzie! — zawołał jeden z nich.

— Jaki on się stał uczciwy teraz — szydził drugi.

— Głupcze! — zawołał trzeci — wielka sztuka być porządnym i uczciwym jak człowiek codziennie się może najeść do syta i to, przy nakrytym stole. Bo ja dawno już przy nakrytym stole nie siedziałem! — dodał rozgniewany.

— Alež, Alojzy napewno poświęci kilka reńskich, aby nam dziś zafundować! — zaczął znów pierwszy. — Jesteśmy przecież starymi kolegami szkolnymi! Witamy cię w imię Boże Alojzeńku! — dodał serdecznie i uścisnął rękę kasztelana.

Ale Alojzy udał, że nie widzi podanej sobie ręki i odpowiedział szorstko:

— Ustąpcie mi z drogi.

— Ależ nie udawaj złego! — zawołali wszyscy trzej. Nie wypuścimy cię, nim nas nie uraczysz.

— Piliście już dziś wszyscy trzej więcej niż było potrzeba — odrzekł Alojzy szyderczo. — Puście mnie! Nie mam nic dla was, ani centa na was nie wyrzucę.

— Przecież nie będziesz takim złym dla dawnych kolegów — upierała się trójka hultajska.

— Co za koledzy? — szydził Alojzy — ja nie mam żadnych kolegów.

— Wstydź się, Alojzeńku — przemawiał mu jeden z nich do serca — czyś my to razem nie siedzieli na ławie szkolnej?

— Nie wspominaj lepiej o tym Hieronimie — odpowiedział Alojzy ponuro — bo słysząc cię, przypominam sobie wszystkie przykrości, któreście mi wyrządzali.

— Ale któżby o takich drobnostkach pamiętał? — perswadował mu Hieronim — jakeśmy cię tłukli, toś nam oddawał i nie zginąłeś od naszych szturchańców. A teraz nie udawaj złego, tylko potrząś kiesą, bośmy wszyscy trzej okropnie skapcanieli.

Na dowód wywrócił swoje puste kieszenie.

— No, nie bądźże taki twardy — dodał — kilka butelek piwa przecież nam nie odmówisz.

— Ani mi się śni sprawiać wam taką libację — odpalił gburowato Alojzy — puście mnie, nie mam dla was czasu.

Dwaj towarzysze szybko porozumiawszy się zwrokiem, zaatakowali go gwałtownie.

— Ej, ty idioto — zawołał jeden z nich ochrypłym i pijackim głosem — dlaczego się tak drożysz? Powinieneś być zaszczycony, że porządni ludzie z tobą mówią. Możeś taki dumny z tego, że ojca twego powiesili, albo z tego, że matka twoja była najobrzydliwszą czarownicą?

— Ja cię tu zaraz nauczę hańbić moją nieboszczkę matkę — zawołał kasztelan, pieniąc się z wściekłości — ty, nędzny szubrawcze! To ja ci wszystkie zęby powybijam.

Rzekłszy to, zrzucił z pleców worek napełniony żywnością, zdjął surdut i rzucił się z zaciśniętymi pięściami na zuchwałego szydercę, grzmocąc go okrutnie.

Daremnie bronił się zaatakowany, nie mógł jakoś podołać Alojzemu, który po krótkiej walce rzucił go na ziemię i, przyciskając go kolanami, wrzeszczał:

— Złodzieju jakiś, odwołaj zaraz, coś mówił o mojej matce i przyznaj, że ona była uczciwą kobietą, bo inaczej nie wyjdziesz żywy z rąk moich.

— Ratunku, ratunku!! — krzyczał biedak — on mnie udusi, zlitujcie się nademną.

Wołanie to nie pozostało bez echa. Obydwaj jego towarzysze rzucili się teraz na kasztelana i, oderwawszy go przemocą od na pół żywego już biedaka, zaczęli wspólnymi siłami mścić się na Alojzym.

Tymczasem zbity łotrzyk wstał z ziemi, i tarł, klnąc, zranione i zbolałe części swego ciała i wreszcie zebrawszy resztki sił, rzucił się na kasztelana.

Jakkolwiek ogromnie silny, nie mógł przecież Alojzy ochronić się przed rozwścieczonymi napastnikami, to też po krótkim czasie leżał na ziemi, a zwycięska tym razem trójka, pastwiła się nad nim.

— Twoja matka była przecież czarownicą — drwił sobie Hieronim, — dziwi mnie to bardzo, że ci nie przychodzi z pomocą.

— Czy masz może przy sobie kawał sznura ,na którym wisiał twój ojciec? — zapytał szyderczo Jorgeli — chcę bowiem postawić na loterię, taki sznur wisielca przynosi podobno szczęście.

— Jego kochanką jest cyganka — zaśmiał się trzeci — więc przypuszczalnie weźmie z nią ślub w lesie.

W tej chwili kasztelan z nadludzkim wysiłkiem wyciągnął swój nóż składany z kieszeni. Otworzył go w mgnieniu oka i wepchnął go w pierś pochylonego nad nim łotra.

Wówczas wszyscy trzej kłusownicy powyciągali także noże i skierowali je na Alojzego.

Oblany krwią, z głęboką raną na głowie, z niezliczonymi sińcami po całym ciele, leżał Alojzy bezprzytomny na placu boju.

Trzej jego przeciwnicy, porwawszy worek kasztelana z żywnością, uciekli czemprędzej z miejsca bójki.

Na szczęście Alojzego, nadjechał jakiś rzeźnik, który zlitowawszy się nad nieprzytomnym ,zakrwawionym człowiekiem, złożył go z pomocą swego czeladnika na swój wózek i odwiózł do szpitala, gdzie zaopatrzono jego rany i gdzie staranną znalazł pielęgnację.

Drugi dzień już upłynął, a Alojzy nie powracał do zamku.

Ilona była w jak najgorszym humorze. Co teraz miała począć? Nie mogła wrócić do obozu cygańskiego i zostawić więźnia bez nadzoru. Z drugiej znów strony, lękała się Raheli i ogromnej nieprzyjemności, która ją od niej czekała.

Mogła była wreszcie od biedy skłamać przed starą cyganką, ale nie mogła znów wytrwać długo w zamku, gdyż brak zapasów żywności, które się już kończyły, nie pozwoliłyby jej tu długo wytrzymać.

Nie miała też odwagi posłać Benariego po coś do jedzenia, bo młody cygan i tak już podejrzewał ją o stosunek z Alojzym. Nie chciała więc, aby wiedział, że ona jest w Felseg.

Była to trudna sytuacja, ale Ilona umiała zawsze odpędzić smutne myśli.

— Jakoś to już będzie — mruknęła — pobiegnę tylko do chatki zobaczyć, czy myszka już złapana, a jak wrócę, to pewnie Alojzego już zastanę.

To rzekłszy, wybiegła z zamku, schowawszy wpierw klucz do schówka, który tylko jej i Ignacemu był znanym i pobiegła w stronę chatki, położonej nad wodospadem.

Otworzywszy drzwi, zobaczyła, że mała myszka nie mogąc się oprzeć nęcącej słoninie, wpadła do nastawionej na nią łapki.

Biedne zwierzątko było widocznie bardzo zatrwożone, bo biegało bezustannie po ciasnej łapce i patrzyło bojaźliwie na cygankę.

— Nie zrobię ci nic złego — uspakajała je młoda cyganka.

Wzięła łapkę i zabierała się już ku wyjściu, gdy odwróciwszy się, zobaczyła obłąkanego wyrostka cygańskiego, który stał przed nią w nędznych swoich łachmanach.

— Cóż ty tu robisz, chłopcze? — zagadnęła go ostro.

Szum wodospadu przygłuszył jej słowa, ale Ignacy odgadł jej pytanie po poruszeniu ust.

Przyłożył swą wychudzoną i bliznami okrytą rękę do czoła, jak gdyby chciał w ten sposób skupić myśli i mruknął.

Nie ma nikogo w chatce i nikt mi nie zabronił, abym wychodził. Tak mnie ciągnie do tego miejsca, jak gdybym tu coś zapomniał!

Mówiąc to wodził trwożnym wzrokiem wokoło i spojrzawszy na myszkę, zawołała boleśnie:

— Puść ją, puść ją na wolność!

Ilona nie zrozumiała słów jego.

— Ba! — myślała — mnie tu nie może zaszkodzić, a sam niech zginie z głodu i z zimna, jak tego pragnie.

Wybiegła z chaty, tak szybko, że Ignacy nie mógł zdążyć za nią.

Biegł za nią kawał drogi, ile mu sił starczyło, potem upadł wyczerpany na kamień przydrożny.

Odwinąwszy rękaw przypatrzył się ciekawie swemu prawemu ramieniowi, okrytemu bliznami.

— Skąd mi się to wzięło? — mruknął — przecież dawniej nie miałem tych blizn.

Potem dotknął palcami kosmyka zbielałych swych włosów i pomyślał.



Niemiecka wytwórnia filmowa „Ufa", nakręciła ostatnio nowy film pod tytułem: „Do nowych brzegów". Na zdjęciu scena z wymienionego filmu.

Moje włosy były dawniej kruczo - czarne. Teraz są białe jak śnieg! Jak się to stało?

Oparł głowę na ręce i zamyślił się smutnie.

Nagle twarz mu się rozjaśniła.

— Już wiem! — zawołał — w tej chacie uwięziony był hrabia Werner. Chciałem go uratować, pobiegłem aby sprowadzić pomoc i wpadłem w przepaść. Gdzież się więc hrabia podział i gdzie się teraz obraca?

Wzburzenie wewnętrzne dodało mu sił.

Szybkim krokiem powrócił do chatki i rozglądnął się po niej uważnie, ale Alojzy zatarł wszystkie ślady, któreby mogły zdradzić dłuższy pobyt jakiejś osoby.

W chatce nie było nic prócz czterech nagich ścian i niezgrabnej kuchenki, z której popiół był wymieciony starannie.

— To był pewno tylko sen — mruknął Ignacy, a wzrok jego padł nagle na wązki, ale głęboki otwór w ścianie.

Nie, to przecież nie był sen! — zawołał żywo — tu do tego miejsca przymocowany był łańcuch, w który zakuty był biedny hrabia. Biegnę za Iloną, ona musi mi powiedzieć, co się z nim stało!

Pobiegł rzeczywiście drogą wiodącą do zamku Felseg, ale ledwie przybył mały kawałek drogi, opanowało go znużenie. Siadł na pień drzewny, aby wypocząć i zasnął natychmiast.

Gdy się obudził, znikł z chorej mózgownicy jego wszelki ślad tego co przeżył.

Czuł tylko ,że jest głodny i że mu zimno, dlatego wrócił śpiesznym krokiem do chatki cygańskiej.

Gdy go Rahela szorstkim krokiem zapytała gdzie był, odpowiedział z głupkowatym uśmiechem:

— Chciałem ci przynieść księżyc, matko Rahelo, ale nie dał się zdjąć z nieba! Byłby tak ładnie wyglądał na twojej chatce!

— Biedny szaleniec — mruknęła Rahela, a po chwili zapytała:

— Czyś nie widział gdzie tego latawca, Ilony?

— Pewno, że widziałem! — zapewniał go Ignacy — miała na plecach dwa olbrzymie skrzydła nietoperza i unosiła się w powietrzu. Patrzyła na mnie płomiennym wzrokiem.

— Bodajby już naprawdę latała w powietrzu! — przeklinała Rahela — sama wałęsa się po okolicy ,a na mnie zwala całą pracę!

Ilona tymczasem nie wałęsała się po okolicy, lecz szukała w ogrodzie Felseg bratków i stokrotek. Były one wprawdzie mniejsze i miały krótsze łodyżki niż w lecie, ale co do barwy i kształtów były tak samo piękne, jak letnie ich siostrzyczki.

Cyganka uzbierała cały pęk tych kwiatów, ułożyła je w zgrabny bukiecik, przywiązała do łapki z myszką i udała się z tym do ostatniej sali zamkowej.

Odsunęła płytę kamienną i spuściła łapkę z myszką i kwiatami po sznurze do podziemia.

Hrabia zobaczywszy swoją małą starą towarzyszkę, pospieszył do niej i uwolnił ją z łapki. Potem uraczył ją najlepszymi okruszynami jakie posiadał, lecz biedna myszka tak była zestrachana, że przysmaków tych nawet nie tknęła. Dopiero po jakimś czasie oswoiła się z nowym lokalem i czuła się odtąd bardzo dobrze w podziemiu zamku Felseg.

Myszy należą, jak wiadomo, do gryzoniów, więc i nasza myszka czuła pociąg do gryzienia, kopania i szukania sobie wyjścia.

Z instynktem właściwym zwierzętom, wyszukała sobie najkorzystniejsze miejsce do swoich operacyj. Zaczęła bowiem grzebać obok płyty, którą swego czasu wyjął Alojzy, aby schować tam ową dębową kasetkę, skradzioną u Herbertów.

Hrabia przypatrywał się ze zdziwieniem robocie małego zwierzątka i spostrzegł, że myszka po upływie kilku dni nakopała drobnymi swymi łapkami cały pagóreczek ziemi.

Może to zwierzątko daje mi jakiś znak — myślał — może i ja mógłbym wynaleźć sobie jakieś podziemne wyjście z mego więzienia.



W słoneczny czas lata...

Chciał właśnie pomóc myszce w ciężkiej jej pracy, gdy płyta u góry nagle się odsunęła.

Była to Ilona, która na mocnym sznurze spuszczała mu kosz z pożywieniem.

— Muszę pójść do miasta po zakupy i dowiedzieć się, co się dzieje z Alojzym — rzekła krótko — proszę się tu tymczasem nie nudzić!

Zasunęła znów płytę i znikła.

Hrabia otworzył koszyk i wyjął z niego garnek kaszy i blaszaną łyżkę.

Werner złapał tę łyżkę, ukląkł na podłodze i zaczął przy jej pomocy dalej kopać zaczęty przez myszkę dołek.

Myszka usiadła na tylnych nóżkach i przypatrywała się przez chwilę robocie hrabiego, potem ze świeżymi siłami zabrała się również do pracy.

ROZDZIAŁ CXXXIII

Miodowy miesiąc Egona

Gdy się Egon obudził nazajutrz po nocy poślubnej, ubrał się szybko i bez pomocy nowoprzyjętego kamerdynera.

Następnie udał się do przyległego pokoju, który miał służyć żonie jego za toaletę.

Ada siedziała na taborecie w kosztownym, świeżym negliżu, a obok niej stała młoda, piękna dziewczyna, która trzymała jakąś suknię w ręku i czekała widocznie na decyzję młodej baronowej.

— Wiesz Malo — odezwała się Ada — jest mi to zupełnie obojętne co dziś włożę. Ta, czy tamta suknia, wszystko jedno! Nie zależy mi dziś na korzystnym wyglądzie.

Egon nie słyszał nawet tych, obrażających dla niego słów, lecz szeroko rozwartymi oczyma patrzył na Malę. Twarz jego trupio zbladła i zaczęła drgać konwulsyjnie.

Teraz nie miał już żadnych wątpliwości. To była jego dawna kochanka, którą niewiernie opuścił i zdradził podle!

Piękne oczy Mali zabłysły radosnym triumfem, po czym spuściła wzrok ku ziemi.

Egon padł ciężko na krzesło i tysiąc różnych przypuszczeń przeleciało mu przez głowę.

Czy mogła Mala zdradzić jego żonie, co łączyło ją dawniej z baronem?

— Nie, to było niemożliwe — perswadował sobie, bo dumna Ada, nie byłaby ją po tym zeznaniu ani chwili dłużej trzymała u siebie.

Ada nie zna zatem dotychczas przeszłości Mali — wnioskował dalej i postanowił odprawić swą kochankę ze służby swej żony.

Gdy podniósł oczy, pięknej Mali nie było już w pokoju. Oddaliła się dyskretnie.

— Cóż to, nie witasz się ze mną? — zapytała Ada szyderczo.

Egon ucałował chłodno białą, delikatną rączkę młodej swej żony i rzekł bezdźwięcznym głosem:

— Wybacz, ale nie lubię czułości w obecności trzecich osób.

— Jakich osób? — spytała Ada zdziwiona — jesteśmy przecież sami!

— Była tu przecież przed chwilą ta osoba — rzekł Egon, marszcząc brwi.

— Mala? — śmiała się Ada — jakiś ty śmieszny! Któż się tam na Malę ogląda! Tak samo mógłbyś liczyć się ze stołem, kanapą i innymi meblami. Gdyby sobie ludzie chcieli zadawać przymus wobec własnej służby... no, to byłoby przykre życie!

— Czy zamierzasz zabrać tę dziewczynę i do Włoch? — zapytał.

— Pewnie — odpowiedziała Ada ostro — czy chciałbyś, abym się obywała bez garderobianej, jak jakaś szewcowa lub krawcowa? Dlaczego ty zabierasz swego kamerdynera?

— Nikt ci się przecież nie każe obchodzić bez garderobianej — tłumaczył jej Egon — chciałem się tylko zapytać, czy nie wolałabyś pannę służącą, którąby umiała władać płynnie włoskim językiem? Może rodowitą Włoszkę? Ta twoja teraźniejsza pewnie ani słowa włoskiego nie rozumie.

— Nie potrzeba jej też tego wcale — zapewniała go Ada — ja umiem sama doskonale po włosku i nie potrzebuję nikogo, do pośrednictwa w porozumiewaniu. Mala zostaje zatem.

— Ale robi ona na mnie bardzo nieprzyjemne wrażenie i proszę cię bardzo, abyś ją natychmiast oddaliła — rzekł baron. — Spodziewam się, że mi tej pierwszej prośby nie odmówisz.

— Skoro ta pierwsza prośba tak jest niemądrą i nieumotywowaną, trudno, abym jej zadość uczyniła — odcięła się Ada. — Jesteś jak widzę kapryśny — kochany Egonie. — Dlatego, że ci się Mali nos nie podoba, to ja mam ją odprawić na łeb na szyję i przyjmować pierwszą lepszą, niezgrabę, która by mi włosy wydzierała i psuła suknie? Ani mi się śni! Mala jest bardzo zręczna; zresztą ona pakowała mi kufry i wie, gdzie co się znajduje. Ona jest mi wprost niezbędną.

— A gdybyś miała, czy mnie, czy twoją nieocenioną Minę — przekręcił umyślnie to imię — tu zostawić, to byś z pewnością zostawiła mnie, nie mogąc się z nią rozłączyć?

— Zanadto jesteś skromny — odpowiedziała Ada ironicznie — nie lubię zbytniej skromności. Zresztą sprawa ta jest załatwiona. Chodźmy więc na śniadanie.

Egon nie miał odwagi oponować.

— Kto wie — myślał — ile ona z mego życia wie, choć nic nie mówi.

Na złodzieju czapka gore.

Każda jej mniej przyjazna mina budziła w nim te obawy.

To też nie mówił już nic, chociaż miał na języku historię swej tajemnicy.

Milcząc, zasiedli małżonkowie do śniadania. W godzinę później wyruszyli w drogę, w czasie której Egon ani razu nie udawał się do niej, chociaż był zresztą bardzo uprzejmy i uważający.

Wieczorem przyjechali do pewnego dużego miasta, w którym Egon telefonicznie zamówił już mieszkanie w jednym z hotelów.

Po kolacji rzekła Ada, ziewając:

— Trzeba będzie zaprowadzić małą zmianę, mój Egonie.

— Jaką, jeżeli wolno wiedzieć? — zapytał zdziwiony.

— Musisz z sypialni zabrać swoje przybory toaletowe.

Ciąg dalszy na stronie 497.

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofii

PROSZĘ O ADRESY!

O adresy, celem nadesłania listów, znajdujących się w redakcji — są proszeni: „Łobuz z Orchowa", „Paganini z Pałuk", „Rozśpiewana Izabella", „Wiarus - Murzynek", „Stel", „Wesoły Toruniak", „Margaretka", „Biała Kalia", „Mistyk", „Z ink", „Biały Tulipan", „Zrównoważony", „Smutne serce" i „Myśliwy".

NENUFARY

Ozdobiły swymi kwiatami,
Całe nadbrzeżne moczary,
Całowane słońca promieniami,
Rozkwitły piękne nenufary.

Wiatr wód toń lekko faluje,
Szumią przybrzeżne szuwary,
Fala za falą całuje —
Białe nenufary.

Zdala echa płyną nieznane,
Niby zbłąkane echa gitary,
O szczęściu marzą słońcem skąpane —
Białe nenufary.

„Zbłąkana Gwiazda".

WIERSZYK WYPADŁ MIŁO!

„Wieszczka kwiatów". „Maleńki wierszyk", jak na pierwszy utwór, wypadł całkiem miło. Dzięki temu poszedł do druku.

Pisze Pani, że powróciła znowu do W. i zamierza na nowo nawiązać z kimś korespondencję. Przede wszystkim chodzi Pani o wymianę myśli z Paniami Sympatyczkami „Krainy".

Powyższe podaję do wiadomości i życzę miłej „Wieszczce kwiatów" naprawdę wartościowej wymiany myśli i żegnam Ją miłymi pozdrowieniami.

DRUGĄ FOTOGRAFIĘ ZAMIESZCZĘ JAK NAJCHĘTNIEJ!

„Rudi 220—380". „Bura" nie była taka straszna z uwagi na to, że nie tylko nie pogniewał się Pan za umieszczenie tej pierwszej fotografii, ale przyrzekł nadesłać drugą. Z chęcią dam ją w „Krainie", oby tylko była dość wyraźna!

Wujkowi Januszowi przykro, że dotknął Pana, a w tej chwili jeszcze mu więcej nie przyjemnie, że musi oznajmić, iż wierszyk Pana rzeczywiście, zgodnie z Jego życzeniem, został skazany na „całopalenie".

Może inne wierszyki będą szczęśliwsze.

Poza tym umieszczam pozdrowienie od Pana dla „Krainiaków" i resztę:

„Stokrotce" odwzajemniam się i również przesyłam Jej pozdrowienia. Wiem przez kogo mnie poznała. Ja sam osobiście chciałbym „Stokrotkę" poznać, zdaje mi się, że mieszka w Dziedzicach, a ja jestem tam codziennie. Wszelako nasze poznanie zależy tylko od Pani, „Stokrotko"!

„Łobuzie z pod ciemnej gwiazdy", Ciebie już też zdemaskowałem — ślę moc słodkich pozdrowień.

„Bursztynowe Serduszko"! przesyłam równą ilość pozdrowień, pragnąłbym otrzymać od Pani list.

M. Grzegorski z S. Chętnie do Pana napiszę, ale trochę później— zgoda? W Sosnowcu mam dużo znajomych z wojska, napiszę o tym Panu w liście. Łączę wyrazy szacunku i jak najserdeczniej pozdrawiam.

„Daria", zainteresowałem się Panią — mieszkamy razem na Śląsku Cieszyńskim i wśród gór. Chciałbym otrzymać list.

„Polna Różyczko II", E! chyba tylko na wiatr mówisz. Idź do „Matusi" z „Krainy", a ona Ci powie, jak się z tego wyleczyć. Napisz do mnie a dostaniesz fotkę. Zgoda?

Wszystkich „Krainiaków" o listy proszę. — Podaję swój adres: poste - restante Skoczów, Śląsk Cieszyński — dla okaziciela legitymacji służbowej nr. 30.

WIERSZYKI ODDAŁAM DO „TECZKI WUJKA JANUSZA"

„Czarodziejka". Sprawę „Moich Powieści" zleciłam załatwić administracji, przypuszczam, że otrzymuje już Pani numery regularnie.

Wierszyki oddałam do „teczki" Wujka Janusza, wyrok będzie zależny od niego. Proszę pilnie śledzić jego oceny, bo nie wiem dokładnie, kiedy odpowie Pani, jako że ma dużo materiału w swej teczce.

Pozdrawiam Panią, „Czarodziejko", serdecznie i życzę dalszych miłych chwil w śledzeniu życia „Krainy".

LIST WYSŁAŁAM

„Solidny Ślązak". Listy wysłano pod adresem podanym na kopertach. Ponieważ wiadoma Panu osoba nie zamieszkuje w wymienionej miejscowości, a tylko w tym samym powiecie, dlatego zdecydowałam się list jej wysłać!

Zasyłam Panu uścisk dłoni.

PEWNA JESTEM...

„Czarnooka Wanda". Ogromnie Pani dziękuję za życzenia, bardzo jest Pani miła.

Dziwię się, że na poprzedni apel nie otrzymała Pani listu, lecz pewna jestem, że teraz „Krainiacy" zasypią Panią korespondencją. Prawda, Mili Moi?

Pozdrawiam w Pani imieniu „Samotną Włościankę", „Dzikuskę z pod Warszawy", dalej „Dziewczę z dalekiej Ojczyzny", z którą bardzo chętnie chciałaby Pani korespondować i „Marzenkę" oraz proszę ją o adres, gdyż zamierza Pani do niej napisać.

Załączam także serdeczne Pani pozdrowienia dla całej „Rodzinki" i powtórnie kładę jej na serce przyjemność korespondowania z Czarnooką Wandą.

Z OGROMNĄ PRZYJEMNOŚCIĄ!

„Ja — Nina". Wierzyć mi Pani może, że z ogromną przyjemnością zaprezentuję Panią członkom „Krainy", na której tak bardzo Pani zależy.

Otóż, Mili „Krainiacy", „Ja — Nina", jako dawna Czytelniczka „Moich Powieści" niejednokrotnie miała ochotę wpržąc się w radosno - młodzieńczy rydwan, co tak zwycięsko kieruje dążeniami naszej ogromnej rodzinki, ale jak stwierdza w słowach nader ujmujących, brakło jej zawsze odwagi. Podejrzewam, że raczej nadzwyczajna skromność, przebijająca w całym liście, kazała się jej tak długo wahać. Ale to nic, dziś już wszyscy ją poznają i z miejsca porwą w swoje towarzystwo — nie wątpię w to absolutnie.

Panno „Ja — Nino", trzymam Panią za słowo i proszę napisać szybko do mnie.

Poza tym zamieszczam Pani komunikat:

„Hallo Stefie z Gdyni, czy korespondowałeś kiedyś z J. T. z S.? Jeżeli tak — daj znać, bo ktoś ciekawy.

Z CAŁEGO SERCA DZIĘKUJĘ!

„Przedwiośnie". Bukiet z róż i niezapominajek otrzymałam. Z całego serca dziękuję za niego, jak również za wzruszające życzenia!

BARDZO PRZEPRASZAM!

„Orlica". Za nieporozumienie, dotyczące pseudonimu Pani, a wynikłe nie tylko z mojej winy — bardzo Panią przepraszam i przyrzekam Pani nadrobić stracone. W tym właśnie celu apeluję do Czytelników „Moich Powieści", aby zechcieli nawiązać korespondencję z „Orlicą" — bardzo sympatyczną i inteligentną Poznanianką. Listy dla „Orlicy" proszę kierować na moje ręce!

ŚCIEŻKA WŚRÓD OGRODÓW

To radość, radość i szczęście
w złoty zamknęły nas pierścień,
gdy szliśmy razem bez troski
obok zielonych ogrodów.
Zerwałam żółtą rundbekchnię
z bukietu kwiatów, co lekkie
schylone ponad parkanem,
a lśniły wśród zmierzchu — słonecznie.
I błądziliśmy ścieżkami
pod pachnącymi drzewami
i zawracaliśmy znowu
w zmierzchu zielonym, by dłużej
rozmawiać, śmiać się, aż wreszcie
śmiech znagła zmienił się w smutek:
bo wszystko mija tak prędko —
bo wieczór ten już nie wróci —
i chociaż dzisiaj jest nasze,
jutro do innych należy —
do tamtych, co przyjdą po nas,
w Sorrento, czy w Zakopanem
„Aleją dla zakochanych"
błądzić i śmiać się, szczęśliwi —
niepomni, że są — choć żywi —
cieniami mijającymi.

PAMIĘTAM O WSZYSTKICH...

„Mewka z nad Warty". Czy pamiętam? Staram się zawsze znać i pamiętać wszystkich należących do „Rodzinki". Uważam to za swój, zresztą wielce miły — obowiązek.

Pani najserdeczniej dziękuję za życzenia i za pochlebne słowa o mnie, myślę, że nazbyt pochlebne!

Słusznie Pani zauważyła, że wielbicieli i sympatyków „Krainy" coraz przybywa — nas to oczywiście bardzo cieszy.

List przesłałam pod właściwy adres i apel zamieszczam:

„Hallo! Tu „Mewka z nad Warty", mieszka w okolicy malowniczej, zewsząd otoczonej lasami. Jest wesołą i podobno miłą istotą, lecz niestety nie ma odpowiedniej „bratniej duszy", z którą by mogła się weselić. Może ktoś poważny napisze kilka słów, odpowiedź murowana.

Wszystkich sympatyków i sympatyczki „Krainy" pozdrawia „Mewka z nad Warty".

CIESZĘ SIĘ KAŻDYM LISTEM!

„Samotna Maruta". Ależ Maruto! Skąd wzięła się u Pani ta myśl, że mogłyby mi być niemiłe listy od tylu osób nieznanych?

Przeciwnie, Droga Dziewczynko, cieszę się zawsze na każdy nowy list, co mi przynosi słowa i myśli, a często przyjacielskie uczucia osób dalekich przestrzenią, a jakże często sympatycznych i przez to samo bliskich.

A skoro takimi stają się dla mnie wszyscy piszący do mnie het, z dalekiego świata, więc łatwo zrozumieć, że bez trudu, a owszem z radością obdarzam ich wyrozumieniem i, tak Pani określiła, dobrocią swego serca.

Zachwycona jest Pani wierszykami „Białej Uajali" — rzeczywiście są ogromnie miłe.

Hallo! „Biała Uajali" — ma Pani wielką wielbicielkę w „Samotnej Marucie" — uczy się niektórych Pani wierszyków na pamięć i twierdzi stanowczo, że gdyby był konkurs w „Krainie" na wierszyki, przyznała by Jej z miejsca pierwszą nagrodę. Przypuszczam, że miło będzie Pani przeczytać tę wiadomość.

Poza tym, „Samotna Maruta" przesyła pozdrowienia „K. J. z Grudziądza", „Strażnikowi z pod Chodzieży", „Białej Uajali", „Dumce" i „Smutnej Marucie". Tę ostatnią prosi o list.

NIE PŁACI SIĘ NIC!

„Maryla z pod Beskidu". Ślicznie dziękuję za nadesłane serdeczne pozdrowienia, które odwzajemniam szczerym uściskiem dłoni. Za komunikaty i apele, zamieszczane w „Krainie", nie płaci się nic!

DZIĘKUJĘ ZA CIEPŁE SŁOWA

„Zbijobruk poznański“. Pragnie mnie Pani poznać, owszem, to nie jest znowu takie trudne, lubi wszak Pani dużo podróżować, więc kiedyś w przejeździe wstąpi Pani do redakcji i pozna Zofię, która nie jest tą osobą, jaką ma Pani na myśli.

Podoba mi się u Pani bardzo ten głód poznawania coraz to nowych okolic i energia w kierunku zdobywania nowych wrażeń. Ludzie, którzy ciekawią się wszystkim w życiu — nie starzeją się szybko.

Za wszystkie ciepłe słowa dziękuję Pani i zamieszczam komunikaty dla „krainiaków“

„Przesyłam pozdrowienia dla „Basi“, z którą chciałabym pomówić. Rozumiem Cię Droga Dziewczynko“.

„Fakirze“, czy wiesz kim jestem?

„Marzący Sfinksie“, „Solidny Ślązaku“, „Geroldzie“, „Nr. 703“, „Latorośl Kaszubska“, „Zwiędły Chryzantemie“ i „Miły Blondynku“ przyjmijcie dużo, dużo pozdrowień! Niech ktoś „machnie“ do mnie list.

„Te — Em“ — pozdrowienia z Poznania i z...

„Bursztynowe Serduszko“ — dziękuję za wszystko. Jesteś kochana!!“

PROSZĘ NIE ZAPOMINAĆ...

„Smutna Irutka“. Miło mi było przyjąć ten list, jak go Irutka określiła, pełen wiejskiego powietrza i zapachu kwitnących bzów. Szkoda tylko, że wcześniej nie mogłam na niego odpowiedzieć, gdyż zbyt dużo miałam listów.

Wszystkim „Krainiakom“ zasyła Pani moc pozdrowień i oczekuje Pani listów od „Polnej Różyczki II“.

Proszę nie zapominać o nas w przyszłości, a narazie pozdrawiam Panią serdecznie, Droga „Smutna Irutko“.

CZY RZECZYWIŚCIE?

„Humorystka“. Pragnie Pani zostać przyjętą do „Krainy“ i prosi Pani o to. Z przyjemnością prezentuję Panią kochanym członkom „Rodziny“, pod obiecującym pseudonimem: „Humorystka“.

Czy rzeczywiście zechce Pani w najbliższej przyszłości pisać nam dużo wesołych i pogodnych słów? Bardzo nam będzie miło. Humoru nigdy w życiu nie ma za dużo.

Ale wracając do prezentacji, nasza „Humorystka“ jest średnio wysoką blondyneczką o niebieskich oczach. Skończyła szkołę gospodarczą i... nudzi się nieco, bo mieszka w małym miasteczku, a nie ma żadnego konkretnego zajęcia dla siebie, pomijając grę na fortepianie.

Dlatego pragnie pogawędzić listownie z „Krainiakami“.

Zainteresował ją „Marzący Sfinks“. Ponadto wyznaje, że pragnie poznać kogoś szczerego i szlachetnego, wrażliwego na piękno natury.

DZIĘKUJĘ ZA PAMIĘĆ

„Wenus“. Najmilsza, dziękuję za pamięć i mile pozdrawiam.

LICZĘ W PRZYSZŁOŚCI NA POPRAWĘ

„Marzący Sfinks“. Żenuje mnie Pan swą wielką wdzięcznością za przedstawienie Go „Krainie“. Z przyjemnością to uczyniłam, równą Pana radości z dokonanego faktu.

Zmianę adresu zanotowałam i nadchodzące listy nie omieszkam dosyłać Panu. Tylko pragnę zaznaczyć, że bardzo mało Pan napisał w ogóle i, liczę w przyszłości na poprawę!

Odwzajemniam pozdrowienia i życzę miłej korespondencji.

ŻYCZENIA WZRUSZYŁY MNIE!

„Ulina“, „Ikiala“ i „Imgra“. Pocztówka z życzeniami Kochanych Dziewczynek — wzruszyła mnie. Dziękuję, jak najserdeczniej dziękuję!

RADOSNE ŻYCZENIA

„Dumka“. Prześliczny widoczek z Szwajcarii Kaszubskiej, oraz kilka słów Pani odebrałam. Dziękuję za nie i niżej przedrukowuję je:

„Całej „Rodzince“ życzę dużo wesela i radości. Cicho we mnie, a na świecie słonka promiennego moc.

„Blance“ i „Czarnemu Hajduczkowi“ — oby nić sympatii połączyła Wasze szczere serca. „Barcin“, może napiszesz do mnie? „Mała Konwalijko“, pozdrawiam Cię serdecznie!“

POMYLIŁA SIĘ PANI

„Banialuka“. Cieszy mnie ogromnie, że tak intensywnie wykorzystuje Pani ciepłe dni na opalanie. Bardzo to słuszne i zdrowe.

„Hieroglify“ Pani absolutnie mnie nie przerażają, bo niesłusznie określą Pani tak pismo swoje. Owszem, jest nawet bardzo czytelne, a treść w listach zawartą gładko się czyta. Przy tym, ma Pani miły i wesoły sposób rozmowy zarówno ze mną, jak z sympatykami „Krainy“ „obojga płci“.

Jeżeli chodzi o moje nazwisko, stwierdzam (niestety!), że pomyliła się Pani. Zaznaczyłam to już w liście, poświęconym Pani siostrzyczce. Chyba nie zasmuci to miłej „Banialuki?

Jeżeli tak, proszę się rozchmurzyć i posłuchać, jak pozdrawiam od Pani „Smutną Irkę“, „Dzikuskę“, Wszystkie Siostrzyczki z Poznania, „Wesołego Chochlika“ i „Białego Tulipana“.

No, już buzia rozpromieniona? To dobrze. Zatem pozdrawiam serdecznie!

PORÓWNAJMY NASZE BÓLE Z INNYMI...

Solidny II. Ogromnie miło było mi przeczytać wszystkie Pana pochlebne słowa o „Moich Powieściach“ — cieszę się bardzo, że ma Pan tyle sentymentu zarówno dla całego pisma, jak i dla „Krainy“.

Rzeczywiście stałą moją troską jest usuwanie trosk i bólów wszystkich członków „Rodzinki“ oczywiście w miarę sił, a ponadto podtrzymywanie nastrojów radosnych i serdecznego uczucia.

Zgadzam się z Panem, że dużo jest cierpień na świecie — lecz zawsze pocieszam się tym, że człowiek „chcący“ potrafi niwelować je wydatnie, jeżeli już nie całkiem gładzić.

Przecież można bóle własne porównać n. p. z innymi, co w stopniu, często niemożliwym do porównania, gnębią ludzi postronnych, wcale nam nieznanych, a przecież, jak my czujących — a ręczę, że przy takim porównaniu — nasze własne cierpienia wydadzą się nam nagle drobnostkami.

Ale powracając do serdecznych słów Pana, skierowanych pod adresem „Moich Powieści“, zapewniam, że zachowam je we wdzięcznej pamięci, a wierszyk pójdzie do „Teczki Wujka Janusza“ i pozostanie tam, jako miła pamiątka.

PIERWSZE ECHO APELU „MŁODEGO ORŁA“

„Hallo! „Młode Orlę“! W tych dniach wpłynął dla Pana liścik, który niewątpliwie ucieszy Pana z tego powodu, że jest od mieszkanki polskich gór, a zarazem miłej Czytelniczki „Moich Powieści“. Treść listu brzmi:

„Młody Orle“! Nie wiem dlaczego, ale ucieszyłam się naprawdę, gdy z poszumem wiatru i z chrzęstem skrzydeł królewskich przypłynął apel — zew, tu w góry i odbił się echem po pięknej krainie Beskidu. Ach, cudownie! „Młody Orzeł“ z nad błękitnych fal Bałtyku przylatuje w Beskidy na wywczasy!

Prześlicznie tutaj, pełno uroczych widoków i majestatycznego piękna, zachwycające wschody i zachody słońca! To wszystko stworzy niezawodnie przepiękne tło dla „Królewskiego Ptaka“.

„Młody Orle“, jeżeli więc masz ochotę, to odpowiedz „Maryli z pod Beskidu“ na adres: poste - restante, Pruchna, Śląsk Cieszyński, dla „Maryli“.

FOTOGRAFIA ZA MAŁO WYRAŹNA!

„Iruśka“. Fotografia „Iruśki“ jest śliczna, ale do reprodukcji nie nadaje się z tej prostej przyczyny, że jest mało wyraźna. Może „Iruśka“ nadeśle mi wyraźniejsze zdjęcie? Bardzo proszę i mile pozdrawiam.

LIST WYSŁAŁAM, GDZIE NALEŻY...

„Stała Czytelniczka“. Nie podała mi Pani specjalnego adresu, ani pseudonimu, więc piszę pod powyższym.

List Pani wysłałam, gdzie należy, a za słowa uznania serdecznie dziękuję, jak również pozwalam sobie uprzejmie zapewnić, że z chęcią gotowam wysłuchać bólów Pani i może, o ile to będzie w mej mocy, coś na nie poradzić.

Narazie ślę Pani słowa serdeczności.

CO SKŁONIŁO DO WYJAZDU?

„Merle“. Pozdrowienia z Częstochowy odebrałam. Dziękuję! Ciekawa jestem, co skłoniło „Merle“ do wyjazdu do Częstochowy? Czy pociągnął Ją nieprzeparty urok Jasnejgóry, czy też coś innego... Czekam na wiadomości!

Teczka Wujka Janusza

CZEKAM Z NIECIERPLIWOŚCIĄ!

„Kitty“. Serdecznie dziękuję Pani za nadesłane pozdrowienia. Na przyobiecane wiersze — czekam z niecierpliwością i ślę Pani słowa życzliwości i sympatii.

PROSZĘ NAPISAĆ COŚ POGODNIEJSZEGO!

P. L. S. z Pomorza. Wiersze Pani wypadły nienajgorzej, ale ogromnie smutno. Skąd wzięło się u Pani tyle pesymizmu? Czy nie potrafi Pani uśmiechnąć się do życia, ludzi, do swej przyszłości, a następnie uśmiech ten zamknąć w pięknych zwrotkach swoich wierszy? Jeżeli tak, niech Pani prześle mi coś radośniejszego, pogodniejszego, a zamieszczę z całą przyjemnością. Ślę Pani uścisk dłoni i życzenia dobrych natchnień.

TERAZ WIERZĘ JUŻ...

„Maleńka Dzidzi“. „Życie jest naprawdę piękne!“ — słowa te napisała Pani tak szczerze w ostatnim liście, że teraz wierzę już, że po smutnej i mocno przygnębionej kiedyś — pozostało tylko wspomnienie. Jest znowu „Maleńka Dzidzi“, radosna i beztroska dziewczynka, która tylko na chwilkę jeszcze zamyśli się, na krótko przywoła dawne wspomnienia i znowu uśmiecha się... Podczas jednej takiej chwilki wspomnień i tęsknoty „Maleńka Dzidzi“ napisała ten oto wierszyk:

O daj mi wszystkie swoje pragnienia,
Daj sercu — serce w ofierze
I pozwól mi pieścić się twym imieniem,
Co wszystkie smutki zabierze...

PROŚBA UKOCHANEJ...

O, daj mi ciche, złote marzenia,
Niech na mą głowę znów spłyną,
Daj mi, a zmilkną serc naszych drżenia
I noce tęsknot mych zginą...

O, daj mi twoje płomienie z oczu —
Niechaj upoję się znowu,
O niech ramiona twoje roztoczą —
Opiekę nad losem nowym...

Czy przyjdzie jakaś odpowiedź na powyższy wierszyk? Myślę, że tak, chociaż z innej strony, nie z tej, z której przyjść powinna...

Na zakończenie przedrukowuję jeszcze tę część listu, w której Pani tak poetycznie i mile rozpisuje się o „Krainie“. Przed tym jednak ściskam Panią na pożegnanie ręce i czekam na zapowiedzianą przesyłkę.

„Nieraz myślę o „Krainie“ i mimowoli porównuję ją do ogromnego ogrodu, w którym najsłodszą ogrodniczką jest p. Zofia, a ogrodnikiem Wujek Janusz. Ponasprazali sobie moc kwiatów, ponasadzali w tym jasnym ogrodzie i doglądają wciąż troskliwie, by któryś kwiat nie czuł się samotnym, smutnym, opuszczonym, i by miał dużo, dużo słońca... A kwiatki, choćby najskromniejsze, uśmiechają się do tego słońca barwami swych płatków...

Raj kobiet



Trzy śliczne, letnie sukienki z jedwabnego płótna. Kroje powyższe (Beyera) można nabyć w naszej administracji w cenie 2,— zł za sztukę.

Miłość do Mussoliniego zaprowadziła dziennikarkę na ławę oskarżonych

Przed sądem paryskim toczyła się niedawno niezwykła rozprawa, której bohaterką była Magdalena de la Fontagnes, b. aktorka, obecnie dziennikarka. Stanęła ona przed sądem za usiłowanie pozbawienia życia hr. Chambrun, ambasadora francuskiego w Rzymie. Pani de la Fontagnes przed trzema tygodniami na dworcu północnym w Paryżu strzeliła do hr. Chambrun, raniąc go lekko. Bezpośrednio po zamachu podejrzewano, że podłoże jego ma charakter polityczny. Wyszło jednak na jaw, iż wchodzą tu w grę zupełnie inne okoliczności.

Magdalena de la Fontagnes zeznała bowiem, że chciała zabić ambasadora francuskiego, ponieważ intrygował między nią a jej ukochanym. Nie byłoby to tak wielką sensacją, gdyby nie fakt, że wybrankiem serca krewkiej dziennikarki okazał się ni mniej ni więcej, tylko dyktator Włoch, Benito Mussolini. Zeznania oskarżonej wywołały więc zrozumiałe poruszenie na sali sądowej.

— Zakochałam się w nim od pierwszego wejrzenia — zwierza się p. de la Fontagnes — i wszelkimi siłami starałam się go poznać. Jako dziennikarka zdołałam uzyskać wywiad z Mussolinim i od tej pory spotykałam się z nim jeszcze szereg razy. Znajomość ta była dla mnie źródłem największej radości życiowej. Niestety, na skutek intryg ambasadora Chambrun, Benito przestał się ze mną widywać.

— I wtedy powzięła pani zamiar zabicia ambasadora?

— Jeszcze nie. Wówczas postanowiłam popełnić samobójstwo. Zażyłam kilka pastylek weronalu, leżałam przez miesiąc w szpitalu, a Benito był tak troskliwy, że co dzień dowiadywał się przez sekretarza o moje zdrowie.. Ale kiedy wyszłam ze szpitala, kazano mi, do czego niewątpliwie przyłożył rękę amb. Chambrun, opuścić Włochy. Wróciłam do Paryża. Napisałam kilka rozpaczliwych listów do Benita, których na pewno nie otrzymał...

— Z czego to pani wnosi? — zapytuje sąd.

— Bo pozostały bez odpowiedzi — westchnęła oskarżona. — Wtedy dopiero kupiłam rewolwer, postanowiłam zgładzić intryganta Chambruna. Zatelefonowałam do jego mieszkania i podając fałszywe nazwisko, dowiedziałam się, że wyjeżdża wieczorem z Paryża. Wobec tego wyszłam na dworzec z desperackim zamiarem pomszczenia mojej krzywdy.

Zemsta rozegzaltowanej dziennikarki udała się tylko częściowo, ponieważ rany zadane hr. Chambrun nie były śmiertelne. Sąd chcąc skonfrontować oskarżoną z ranionym przez nią ambasadorem, odroczył sprawę aż do czasu przyjścia jego do zdrowia.

Tymczasem Paryżanie omawiają z przejęciem całą sprawę. Oczywiście są i tacy, którzy wierzą w to, że tylko dzięki intrygom hr. Chambrun skończyła się miłość dziennikarki do dyktatora Włoch.

Świat i życie

Czy żyjemy powtórnie na świecie?

Pytanie, czy życie człowieka na ziemi kończy się z chwilą złożenia go do grobu, nie przestaje budzić zainteresowania powszechnego.

Wszyscy doskonale pamiętają wypadek jaki przed kilku miesiącami zdarzył się nad polskim morzem. Obecnie znów pisma zagraniczne podają ciekawy wypadek, jaki miał miejsce w czasie wyświetlania filmu „Tudor Rose", przedstawiającego tragiczne losy 10-dniowej królowej angielskiej Lady Jane Grey, wysuniętej na tron po śmierci syna Henryka VIII i straconej po 10-dniowym „panowaniu", zerwała się nagle z miejsca 18-letnia dziewczynka Dorota Jordan i wskazując na ekran, gdzie rozgrywała się właśnie scena tracenia królowej, krzyknęła spazmatycznie:

— To fałsz! Ja byłam przy straceniu królowej, wszystko odbyło się inaczej.

W tej chwili dziewczynka zemdlała.

Po ocuceniu dziewczynka oświadczyła, że dziwny jakiś wewnętrzny przymus kazał jej pójść na ten film. W miarę rozwoju akcji, w świadomości jej powstawał coraz wyraźniej obraz wydarzeń, jakie rozegrały się przed czterema wiekami.

— Widziałam, że sceny na filmie nie są zgodne z prawdą. W pewnym momencie, gdy zobaczyłam scenę tracenia królowej, nagle przyszło olśnienie. Z głębin podświadomości wypłynęło to przypomnienie odległych przeżyć. Uprzytomniłam sobie, że byłam damą dworu straconej królowej, towarzyszyłam jej w ostatniej drodze na szafot. Pamiętam doskonale twarz kata, który miał czarną opaskę na kiściu ręki (czego w filmie nie pokazano). Królowa, zobaczywszy kata, drgnęła i przywarła do mnie. Na ostatnie pytanie kata, czy mu przebacza, odpowiedziała królowa „tak" i uklękła, kładąc głowę na pniu. Do klęczącej przystąpił pachołek kata i podniósł jej pukle włosów, spadające na kark. W tej chwili zasłoniłam twarz rękoma, więc nie pamiętam, prawdopodobnie zemdlałam, tak jak i dzisiaj.

Odpowiedź młodej dziewczyny, u której lekarze nie znaleźli ani cienia jakichkolwiek zaburzeń nerwowych, wywołała na słuchających wstrząsające wrażenie.

Wybitny filozof polski prof. Wincenty Lutosławski cytuje w pismach swych wypadek pewnej 10-letniej dziewczyny hiszpańskiej, która urodzona w Hiszpanii północnej, wybrała się z rodzicami po raz pierwszy w daleką podróż do któregoś z miasteczek Hiszpanii południowej. Przybywszy do miasteczka, dziecko obracało się w nim jakby u siebie, oświadczając zdumionym rodzicom, że przypomina sobie, iż była tu już przed 50 laty.

Inny wypadek opisywały przed wojną pisma francuskie. Młode małżeństwo wybrało się samochodem w podróż poślubną do posiadłości pana młodego, przedstawiciela jednej z arystokratycznych rodzin francuskich na południu. Młody hrabia sam kierował autem. Gdy już znajdowali się blisko celu podróży, hrabina prosiła męża, by jej pozwolił kierować samochodem.

— Nie znasz przecież drogi, zbłądzisz — oponował hrabia.

— Dziwne — odrzekła — zdaje mi się, że tu byłam już.

Gdy wjechali na dziedziniec zamku hrabiego, żona w gorączkowym podnieceniu zawołała:

— Ależ tak, byłam tu. Chodź, zobacz — i pociągnęła zdziwionego męża za sobą prosto do sali portretowej. Tu zatrzymała się przed portretem młodej kobiety z XVII wieku.

— Patrz — szepnęła do męża.

Hrabia struchlał. Portret przedstawiający jedną z pra-pra-prababek hrabiego, był wiernym odbiciem rysów jego żony, która w postaci damy XVII wieku poznała siebie...

Czym wytłumaczyć zjawisko, o którym głośno było w prasie przed mniejwięcej rokiem? Pewna dziewczyna, zdradzająca objawy niedorozwoju psychicznego zaczęła nagle deklamować najczystszym językiem Homera, strofy jego nieśmiertelnej „Odysei". Dziewczyna chowała się całe życie na głuchej zapadłej wsi.

Czym wytłumaczyć jej nagłe olśnienie pamięci? Długo jeszcze wiedza głowić się będzie nad zjawiskami w tej dziedzinie, która znajduje się dopiero w powijakach hipotez.

Ze świata

Siesta w blaskach słońca

Ostatnie upały skłoniły kierownictwo wielkich garbarń angielskich w Liverpoolu do wprowadzenia dwóch przerw w okresie dnia pracy. Obie przerwy wypadające na godzinę 10-tą i 13-tą w południe poświęcił robotnik na spożycie posiłku w dusznych halach fabrycznych. Półgodzinny odpoczynek wprawdzie krzepi ciało, lecz nie daje świeżych sił do pracy. Dlatego też w dobrym zrozumieniu położenia robotnika, założono przy fabryce obszerne ogrody pełne zieleni. W ogrodach na leżakach wśród absolutnej ciszy wypoczywają strudzeni robotnicy. Ogrody są połączone z basenem kąpielowym. Zainstalowanie tych urządzeń wzmogło, jak zaobserwowali majstrzy, ochotę i zapał do pracy, podwajając niemal dwukrotnie wydajność ciężkiej pracy garbarskiej.

Kwartał szczęścia

Według statystyki, jaką opublikował urząd stanu cywilnego w Wiedniu, najruchliwszym okresem zawierania małżeństw jest wiosna. Miesiące kwiecień, maj i czerwiec stanowią maksymalne nasilenie ślubów. Gdy jeszcze przed kilku laty większość małżeństw stawała przed ołtarzem w święta Bożego Narodzenia lub na Wielkanoc, to już ostatnio w Austrii zaznaczyła się tendencja na korzyść wiosny. W samym Wiedniu przez miesiące kwiecień i maj zawarto 300 ślubów więcej niż w roku ubiegłym.

Jeden z dzienników zorganizował wobec tego znamiennego faktu odwracania się od tradycji ojców ankietę wśród młodożeńców. Młode pary tak motywowały swoją decyzję: wiosna stanowi dla nas rocznicę naszego poznania. W pełnym rozkwicie przyrody śluby nasze otrzymują radosne ramy słońca i pogody, jaka jest tak rzadkim objawem grudnia lub wczesnej wiosny. Poślubna podróż urządzona przez nas do podmiejskich osiedli i wiosek pochłania minimalne koszta i wydatki.

Dziennik, który ogłosił powyższe odpowiedzi, zaznaczył, że ten ostatni wzgląd nacechowany utylitaryzmem zaważył zapewne na decyzji młodych zakochanych par małżeńskich.

Otwory do całowania

Klub postępowych kobiet w Atenach ogłosił znamienną uchwałę: rękawiczki będą odtąd posiadały otwór, przez który panowie będą mogli całować rączki pań. Zarząd zwrócił się już do wszystkich wytwórni rękawiczek z tym, by zechciały uwzględnić

postulaty pań i wykonać rękawiczki z maleńkimi otworami, poprzez które każdy dżentelmen jest zobowiązany ucałować dłoń pani.

Postanowienie klubu Greczynek wywołało ogromną burzę w sferach towarzyskich, stanowiąc główny temat rozmów. Ważne zagadnienia polityki wewnętrznej zbladły przy sprawie całowania rączek. Ze szczególnie ostrym protestem wystąpiły zrzeszenia lekarskie, domagając się od władz ingerencji i zakazu wyrobu rękawiczek z otworami. Lekarze swoje stanowisko motywują względami higieny i łatwością przenoszenia się zarazków.

W odpowiedzi na to postępowe panie demonstracyjnie noszą rękawiczki z otworami, pokazując się w nich na licznych przyjęciach i wycieczkach. Do grona klubu należą małżonki dygnitarzy i wybitnych urzędników, zajmujących w hierarchii państwowej poważne miejsca. Na widok tych osób cichną dysputy i spory. Panowie z wdziękiem podchodzą do pani ministrowej lub prezesowej, całując ją z uszanowaniem w dziurkę rękawiczki.

Gołąb złodziejem

W jednej z miejscowości francuskich w pobliżu Nohan sur Semey wydarzył się znamienny wypadek. Oto ze stolika nocnego właścicielki dużej posiadłości wiejskiej zginęła platynowa obrączka ozdobiona kosztownym brylantem. Wszczęte przez pobliski posterunek policji dochodzenia nie przyniosły spodziewanych rezultatów. Nieskazitelność służby oraz dokładne poszukiwania uniemożliwiały rzucenie lekkomyślnych podejrzeń lub też zgubę.

Po pewnym czasie zapomniano o tajemniczym wypadku. Podczas pewnej wycieczki do pobliskiego parku właścicielka majątku zauważyła, że wśród drzew coś błysnęło. Po dokładnym zbadaniu okazało się, że to gniazdko gołębia. Właścicielka z całą ostrożnością wglądnęła do wnętrza miniaturowego gołębnika, na dnie którego leżała starannie ukryta obrączka.

Tak to po prawie dwumiesięcznych poszukiwaniach poszkodowana znalazła swój stracony skarb.

ALFRED LORD TENNYSON.

Szarża lekkiej brygady

(NOWELA).

(Osnute na tle filmu o podobnym tytule).

ROZDZIAŁ V.

Geoffrey powrócił z naszywkami majora na kołnierzu. Wyprawa do Arabii po konie pełna była niebezpieczeństw. Podjudzane przez Rosjan dzikie szczepy arabskie kilkakrotnie osaczały małą kompanię lansjerów i tylko dzięki szybkiej orientacji i niezrównanej brawurze Geoffreya oddział uniknął zagłady. Wróciwszy do garnizonu w Chukoti, Geoffrey dowiedział się, że dowódcą pułku został pułkownik Campbell, że Elza mieszka w kwaterze głównodowodzącego, a Perry przebywa w garnizonie Lahor w odległości kilkudziesięciu mil. Geoffrey nie był jedynym oficerem, który zdobył awans podczas tej wyprawy. Jego przyjaciel podchorąży Randall otrzymał rangę kapitana.

W Chukoti sprawy stały nieszczególnie. Kotłowało się na granicy. Wśród Suristańczyków szerzyła się, jak zaraza, nienawiść do Anglików, zręcznie podsycana przez Chana Surata i jego sprzymierzeńca rosyjskiego generała Wolonowa. Nieustannie nadchodziły meldunki o atakach na karawany, dokonywanych przez dzicz, zamieszkującą górzysty kraj po tamtej stronie rzeki, naprzeciw garnizonu.

Ale nawet w tak rozpaczliwej sytuacji 27 Pułk Lansjerów powstrzymywał się od walki z Suristańczykami. Inny plan był w pogotowiu. Pułkownik Camphell natychmiast wtajemniczył w to Geoffreya.

„Zarządź zbiórkę w ordynku, Vickers" — rzekł.

Geoffrey podnieconym głosem wydał rozkazy. Gdy konny pułk lansjerów zgromadził się na dziedzińcu, pułkownik zwrócił się do nich z krótką przemową:

„Z Lahor zażądano natychmiastowego przysłania wszystkich ludzi, znajdujących się pod moją komendą. Weźmiecie udział w manewrach".

Geoffrey aż wytrzeszczył oczy ze zdumienia.

„W manewrach, sir?" — zapytał.

„Tak powiedziałem!" — odparł szorstko pułkownik Campbell.

„Przecież Chukoti pozostanie całkowicie bezbronne" — argumentował Geoffrey.

„Odwaga — to, mój chłopcze, jest podstawą wszelkiej strategii" odpowiedział pułkownik.

„A kobiety i dzieci?" — Geoffrey już prawie krzyczał. Wściekły był na swojego zwierzchnika.

„Nie mamy się czego obawiać" — pułkownik przeciął dysputę. — Major Jowett obejmie komendę oddziału. Ty, Vickers, zostajesz w Chukoti. To wszystko."

Major Jowett rzucił rozkaz i kawaleryjski oddział galopem wypadł z dziedzińca koszarowego.

Kobiety i dzieci powiewały chustkami z murów fortu. Po chwili kolumna znikła w kłębach pyłu.

Potrząsając niedowierzająco głową, Geoffrey oddał konia ordynansowi i wszedł po schodach na koszarowy taras. Zastał tam Elzę, spoglądającą na zaciszny krajobraz i na leniwy nurt rzeki, która wiła się, wiła, aż nikła za horyzontem.

„Elzo!" — szepnął Geoffrey.

Drgnęła i odwróciła się. „Ach, to ty, Geoffrey!"

„Nie miałem zamiaru cię nastraszyć. Tak pięknie wyglądasz, stojąc samotnie na tym dachu!"

Elza stanęła na krawędzi tarasu. „Geoffrey" — rzekła — „czy chcesz, żebym była szczęśliwa?".

„Znasz moje uczucia" — odpowiedział głosem sciszonym z tkliwości.

„Muszę ci więc... muszę ci coś powiedzieć" — zaczęła, zbierając siły, aby przejść wreszcie przez tę straszną próbę, aby wyznać mu swoją miłość dla Perry'ego. Ale słowom nie było dane uformować się w jej ustach. Z wieżyczki zahuczał wystrzał. Nastąpiła szybka wymiana strzałów. Nieliczni sipaje-lansjerzy, pozostawieni w forcie, rzucili się do okien: otworzyli ogień. Sipaj przebiegł przez dziedziniec, wołając: „Majorze Sahibie — Suristańczycy!"

„Wszyscy na mury!" — krzyknął Geoffrey. — „Nie czekać na rozkazy — strzelać — prędko-o!"

ROZDZIAŁ VI

W garnizonie rychło odczuto liczebną przewagę przeciwnika. Horda Suristańczyków parła nieustannie pod mury. Obrońcy walczyli po bohatersku. Ale napróżno ujadały karabiny i ryczały armaty. Położenie było beznadziejne. Niejeden napastnik padł, skoszony kulą, ale horda wciąż posuwała się naprzód, niby stado szarańczy. Kobietom i dzieciom kazano schronić się w zabudowaniach koszar.

„Będzie ich z osiemset" — rzekł Geoffrey do Randalla.

„Nazbyt nierówne siły" — odparł ten, uważnie celując przez wyzębienie blanków.

„Będziemy musieli opuścić mury" — rzekł Geoffrey. „Baraki łatwiej obronić i wtedy można będzie mierzyć do każdego po kolei."

Pułkownik Campbell skinął głową. „Dobrze. Wydaj rozkaz."

Padła komenda. Lansjerzy i sipaje zeszli z murów i szybko przebiegli przez dziedziniec. Zamknąwszy się w barakach, zabarykadowali okna i drzwi, a następnie brali Suristańczyków na cel po jednemu w miarę tego, jak ci usiłowali przeleźć przez mur. Podstęp udał się. Barbarzyńcy zdołali zająć tylko wieże.

Jedna z tubylczych kobiet padła ranna.

„Wody!" — zawołał Geoffrey. — „Elza, przynieś wody!"

Dziewczyna podbiegła z dzbankiem wody w ręku. Kula trafiła w dzbanek, przewierciła go na wskroś i zawartość jej rozlała się na podłogę. Elzie udało się uratować niepełny kubek wody.

„To całe nasze bogactwo" — powiedziała Geoffreyowi. „Nie zdążyliśmy się zaopatrzyć w zapasy jadła i wody."

Geoffrey sposępniał.

„Ile nam zostało amunicji?" — zapytał pułkownik Campbell.

„Więcej, niż trzeba. O amunicję nie ma co się martwić, ale brak jadła i wody może nas zgubić. Sir — w taki upał bez wody..."

Głosem zmęczonego człowieka powiedział pułkownik: „Musimy dać znać Jowettowi i jego oddziałom. ktoś powinien przedostać się do nich."

Kapitan Randall, który właśnie stał przy oknie z gotowym do strzału karabinem, odwrócił się: „Chciałbym spróbować, Sir. Może dziś wieczorem uda mi się."

Pułkownik Campbell spojrzał na Geoffreya. „Jak myślisz?" — zapytał — czy to możliwe?"

Geoffrey skinął głową: „Jeżeli księżyc nie będzie świecił zbyt jasno, Sir."

Zapadł wieczór. Księżyc świecił, jak sto ognistych diabłów. Był to jaskrawy indyjski księżyc. Ale koło północy chmury zaczęły gęstnieć i nieco przyciemniać jego blask. Geoffrey, pułkownik Campbell i Randall siedzieli, czekając wpatrzeni w mury, a kiedy szczęśliwie gęsta chmura zakryła twarz księżyca, Geoffrey szepnął: „Teraz albo nigdy, Randall!"

„Dojdź do łodzi i przetnij sznur pierwszej lepszej łódki. Prąd cię zaniesie prosto do Lahor" — radził pułkownik.

Randall wyszczerzył zęby w uśmiechu. „To pójdzie jak piosenka. Sprowadzę posiłki, zanim zaświta".

„No, to wal!" — powiedział pułkownik.

Randall pochwycił wyciągniętą prawicę pułkownika i ścisnął Geoffreya za ramię. „Do widzenia" — powiedział. Po chwili już go nie było.

Póki przechodził przez mur, ciemność trwała. Milczkiem przekradał się ku rzece, krążył wśród splątanych zarośli. Plusnął w wodę i popłynął ku łodziom. Namacawszy sznur, przelazł przez burtę z nożem gotowym w ręku. Ale nie przeciął sznura. Z mroku wyłoniła się postać Suristańczyka. Błysnęła stal i długi indyjski nóż utonął w plecach Randalla. Kapitan z jękiem stoczył się w dół. Woda pochłonęła konające ciało.

W barakach kobiety i dzieci spały, a lansjerzy i sipaje stali na warcie, oczekując posiłków zapowiedzianych przez Randalla. Nikt się nie zjawił o świcie, tylko w blaskach wschodzącego słońca Geoffrey, wartujący przy oknie, dostrzegł Suristańczyka, który zatykał na murze białą flagę.

„Patrz pan!" — zawołał.

Pułkownik Campbell rzucił okiem na flagę. „Cóż te diabły znowu zamierzają?" — zapytał.

„Wkrótce się dowiemy". — rzekł Geoffrey.

ROZDZIAŁ VII

Chan Suratu czekał w namiocie, rozłożonym na równinie w odległości kilkuset metrów od koszar. Przy nim był generał rosyjski Wolonow.

„Witam pana, majorze Vickers" — rzekł Chan. — „Oby bogowie męstwa i rozumu nadal udzielali panu swego błogosławieństwa!"

Geoffrey nie odpowiedział. Stojąc w namiocie mierzył wschodniego władcę gniewnym spojrzeniem.

„Ach przyjacielu" — ciągnął dalej Chan. — „Nie należy gardzić uprzejmością wrogów. Nigdy nie wiadomo, kiedy przestaną być uprzejmi, a wtedy za późno żałować."

Geoffrey przemówił lodowatym głosem: „Zostawmy na boku ceremoniał. Wie pan już zapewne, że przesłaliśmy wiadomość do Lahor i że cały pułk spieszy nam z pomocą."

Chan uśmiechnął się. „To interesujące" — rzekł. „Z tym większą przykrością będę musiał pana rozczarować w tym względzie".

W oczach Geoffreya odmalowało się przerażenie. „Randall?" — zapytał.

„Nie żyje" — ponuro odparł Chan. — „I ten sam los czeka was wszystkich, jeśli nie przystaniecie na moje warunki."

„Cóż to za warunki?"

„Poddajcie się" — rzekł Chan, zapalając cygaro.

„Musi pan zapewnić bezpieczny odwrót kobietom i dzieciom garnizonu" — powiedział Geoffrey.

Chan skłonił się. „Gwarantuję garnizonowi bezpieczne wycofanie się do Lahor."

„Przypuszczam, że warunki zostaną przyjęte" — rzekł Geoffrey.

Ciąg dalszy w następnym numerze.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

P. Hanuza R., Katowice. Treść listu Pani przyjęła do wiadomości nasza administracja, potwierdzając, że istotnie ma Pan prenumeratę opłaconą do października b. r. włącznie. Przepraszamy za nieporozumienie i jak najserdeczniej pozdrawiamy!

CHWILA ZASTANOWIENIA

DOPEŁNIANKA

pod. M. T.

K	A				
	K	A			
		K	A		
			K	A	
				K	A

1) Spotyka się przy drodze
2) In. sposobność
3) Umieszczenie kapitału
4) Rzadkość
5) In. koncert

BILETY WIZYTOWE

Rena Leg

Mina Zokir

Ola Krzej

Czy właścicielami biletów są kobiety, czy też mężczyźni?

Za rozwiązanie zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek. Rozwiązanie należy nadsyłać do piątku, 25 czerwca br.

Spojrzał na nią pytająco.

— Głowa mnie boli — powiedziała Ada — i Mala będzie musiała podawać wodę kolońską i krople laurowe.

— Więc ja mam ustąpić Mali? — zawołał baron — to bardzo pochlebne dla mnie.

— Mówiłeś wciąż przez sen — rzekła na to Ada zimno — rozmawiałeś wciąż, to ze starym Gerhardem, to z Wernerem. Mnie to denerwowało, nie mogłam spać i dlatego dziś mnie głowa boli.

Jak rozkażesz — odpowiedział Egon chłodno — całe szczęście, że Mala nie jest ma...

Chciał powiedzieć „malarzem", ale poprawił się „mężczyzną". Musiałbym ją wyzwać na pojedynek.

— Masz dość dziwne pomysły — odparła baronowa ,wzruszając ramionami — ale jestem zmęczona. Darujesz, że pójdę do siebie.

Baron wstał i otworzył jej drzwi do sypialni, a ona rzuciwszy mu chłodne „dobranoc" wyszła.

W sypialni czekała już na nią Mala.

— Spodziewam się, że nie chrapiesz — rzekła baronowa do swojej garderobianej, która czesała i plotła jej piękne włosy na noc.

— Nie — odparła Mala ze słabym uśmiechem na ustach.

Bo będziesz spać w moim pokoju, jestem niezdrowa i będę potrzebowała twojej pomocy.

Mala była przygotowana na to, że przez całą noc nie będzie spać, ale ku wielkiemu jej zdziwieniu baronowa zbudziła ją w nocy tylko raz i to dopiero nad ranem około czwartej, gdy na schodach dały się słyszeć ciężkie kroki i nucenie niezupełnie trzeźwym głosem.

— Zobacz no, kto śpiewa po nocy, rozkazała baronowa.

Mala wstała, zarzuciła szlafrok i wyszła na korytarz.

— No, kto to! — spytała ciekawie baronowa, gdy Mala wróciła.

— To pan baron! — odpowiedziała.

— Kto go odprowadzał?

— Kelner i portier, proszę jaśnie pani!

— Dobrze, możesz iść spać — rzekła Ada zupełnie obojętnie.

Nazajutrz rano, przy śniadaniu, rzekła Ada do męża:

— Nie wiedziałam o tym wcale, że jesteś tak muzykalnym!

— Jakto? — spytał Egon zdziwiony.

— No, przecież śpiewałeś tak ładnie dziś rano o 4-tej! Podziwiałam cię doprawdy.

— Może ten podziw jest obustronny — rzekł Egon ze złością.

W tej chwili wszedł kamerdyner i zameldował:

— Pociąg odchodzi o godzinie 10-ej minut 10, proszę pana barona.

— Musimy zatem spieszyć się — rzekł Egon.

W godzinę później odjeżdżał z żoną do Włoch, do owej wspaniałej krainy, gdzie kwitnie bluszcz i laury; gdzie marmurowe posągi dumnie podnoszą głowę, a trucizna i sztylety mordercze są na porządku dziennym.

Młodzi małżonkowie siedzieli naprzeciwko siebie w wagonie, nie jak młoda para, ale jak dwoje podróżnych, którzy przypadkiem zeszli się w wagonie.

Posiew Mali wydawał wspaniałe plony.

Ona już była pomszczona.

ROZDZIAŁ CXXXIV

Sen przyszłości

Do hotelu kwirynalnego w Rzymie, przybyła właśnie większa liczba gości, wśród których znajdowała się rodzina angielska, złożona z ojca, matki i dwóch podstarzałych córek.

W księdze zapisane były ich nazwiska:

Mr. Snop z rodziną, z Londynu.

Mamy zatem przyjemność spotkać naszych starych znajomych i skonstatować, że „pa" Snob nie stał się wymowniejszy, „ma" inteligentniejsza, ani miss Inez i Fides piękniejsze niż były w Wenecji.

Panienki przygotowywały się właśnie do obiadu.

Jedna wypakowywała jeszcze rzeczy z kufra, druga przed lustrem upinała swoje twarde, a żółte jak słoma włosy.

— Jak się dziś ubierzesz? — spytała starsza, gdyż ubierały się zawsze jednakowo, sądząc, że wyglądają przez to młodziej.

— Wszystko mi jedno — odpowiedziała młodsza — dla kogoż się tutaj będę stroić?

— A przedtem dla kogoś się stroiła?

— Ty pytasz jeszcze, okrutna? Czy nie wiesz, za kim tęsknić będę wiecznie?

— Za tym blagierem, który udawał hrabiego? Wolałabym nic nie mówić, zamiast się nim ośmieszać.

— Jeżeli ja się ośmieszam, to ty masz o wiele więcej na sumieniu, boś mi zabrała narzeczonego, a z nim szczęście mego życia!

Tak mówiła piękna Fides, gdyż wierzyła niewzruszenie, że byłaby 6 tygodni temu została szczęśliwą małżonką Waldaua, gdyby nie intrygi siostry.

Lecz ta nie uznała tego wcale.

— Jeżeli nie przestaniesz wariować — rzekła, to powędrujesz niedługo do domu obłąkanych.

Byłyby się tak kłóciły może do wieczora, gdyby ich nie nagliła do pośpiechu matka.

— Bójcie się Boga — wołała — jak się nie pośpieszycie, to nam wszystko zjedzą i „pa" zachoruje ze zmartwienia.

Wobec tego zebrały się panienki w kwadrans i zjawiły się przy stole w terrakotowych, jedwabnych sukniach, w których brzydota ich uwydatniała się jeszcze bardziej.

Przy stole sąsiadowali z nimi rodacy, bardzo szykowni jacyś mężczyźni.

Mr. Tuliwer z rudymi bokobrodami, które gładził bardzo często delikatną ręką i mr. Waker z dużą blond głową, bawili je tak dobrze, że panienki żałowały, gdy się obiad skończył.

Z czerwonymi od wina nosami i z triumfem wróciły do swego salonu i zająwszy miejsca na fotelach, wpatrywały się w siebie przez jakiś czas z ogromną ironią.

— No, cóż, Fides? — rzekła Inez po kilku minutach wyniosłym tonem.

— No, cóż, Inez? — odpowiedziała młodsza tak samo.

— Czy jesteś jeszcze tak przekonana o swojej wyższości i o tym, że jestem niczym wobec ciebie?

— Właśnie o to samo chciałam ciebie zapytać — odcięła się Fides — widziałaś przecież na własne oczy, jak mi dziś nadskakiwał mr. Waker.

— Fe, możesz mi gadać, co ci się podoba i kłamać, bo wiesz, że nie miałam czasu patrzeć na ciebie, gdyż zainteresował mnie Tuliwer. Musisz przyznać, że ten gentelman odrazu zakochał się we mnie.

— Nie wmawiaj w siebie — irytowała się Fides — mr. Waker pytał się, która z dwóch dam w moim towarzystwie jest moją siostrą, która matką.

Pokazałam mu „ma", wtedy on myślał, że ty jesteś moją ciotką, a gdy się dowiedział, że nie, dziwił się, że ty o tyle starsza ode mnie, ubierasz się tak samo jak ja.

— Bardzoś niezgrabnie skłamała — odparła Fides — a ja ci powiem, co jest rzeczywistą prawdą, że mr. Waker nienawidzi ciebie równie silnie, jak mnie kocha, i że tym razem wszystkie twoje intrygi na nic się nie przydadzą.

— Co mnie obchodzi ten idiota — zawołała Inez ordynarnie — jeżeli ma taki zły gust, że ty mu się podobasz, to obydwoje zatem należycie do domu wariatów.

— To zazdrość mówi przez ciebie — pocieszała się Fides.

— Nie prawda! Ale to mi musisz przyznać, że twój Waker wygląda jak pomocnik fryzjerski — odrzekła Inez.

— Kłamiesz! — krzyknęła Fides — przez zazdrość tak mówisz ,bo się złościsz. Ja wcale nie widziałam, żeby ten mr. Tuliwer tak bardzo ci nadskakiwał.

— Właśnie dlatego, że jesteś taka idiotka — wrzasnęła z wściekłością Inez — jesteś głupia gęś i nie widzisz, co się wkoło ciebie dzieje.

— Ty sama idiotka — krzyknęła Fides — gdyby tu był mr. Waker wziąłby mnie z pewnością w obronę przed tobą.

W tej chwili otworzyły się drzwi i weszła mama Snob.

Niedbale zarzucony porannik i rumieniec na twarzy dowodziły, że kłótnia córek zbudziła ją z długiego snu.

— Ależ dzieci — zaczęła z wyrzutem — przecież za ścianą może ktoś słyszeć.

Przyjemne panienki umilkły natychmiast w obawie, czy może który z ich wielbicieli rzeczywiście nie mieszka za ścianą.

— Wyglądałyście dziś bardzo ładnie przy stole — uspakajała je matka, w przekonaniu, że mówi prawdę, gdyż była po macierzyńsku zaślepiona. I każda podobała się komu innemu, — a przecież nie jesteście z Turcji, żebyście obie mogły wyjść za jednego, tylko musicie zawsze wobec nich żyć w zgodzie, bo to robi bardzo dobre wrażenie, a niezgoda jak najgorsze.

Nagle ktoś zapukał do drzwi.

— To zapewne Tuliwer — szepnęła Inez zawstydzona.

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)

14)

Sen o zemście

Ale pomsta Familii nie ograniczyła się do nas jedynie, dosięgnęła ona nawet księcia pana. Już tam wojska carycy ciągną z rozkazu tego błazeńskiego królika Poniatowskiego do Nieświeża i pewnie do Opsy, aby księcia porwać, w dyby okuć i pewnie nad ono morze, Białem zwane, gdzie jeno białe niedźwiedzie, na śmierć żywie — wysłać, a ciebie na głowie mieczem katowskim pokarać.

— Gdzie książe pan?

— W lasach, o parę staj od Opsy, na ciebie czeka. Oto on, potężny pan, monarchom równy, przed zemstą stolnika litewskiego z państwa swojego nieświeskiego uchodzić musi, jako banita się ukrywać, do obcych głowę unosi...

— A brat Stanisława?

— Z księciem panem ostał... Śpiesz się, Janie, śpiesz się, uchodź z nami, nie pozwól, by miłośnica stolnika litewskiego pomstę na tobie wzięła, by mogła przechwalać się, iż sięgnęła po głowę jednego z Ciechanowieckich i dostała ją oddzieloną od tułowia mieczem katowskim.

— Uchodź, wasza miłość! — zawołał ze łzami w oczach stary Breza, pana pod nogi obejmując.

Jan podniósł hardo głowę do góry, spojrzał na brata smutnymi oczyma, staremu dłoń na białej głowie położył i wyrzekł z mocą:

— Ja tu ostanę. Tu się urodziłem, tu cierpiałem i tu, w progach mego domostwa polegnę. Nie dostanie ni pan stolnik litewski, ni jego miłośnica głowy mojej.

— Na Boga! Janie, czyś zmysły postradał? — zawołał zrozpaczony starosta domaski. — Chcesz tu ostać, aby ci głowę zdjęto?

— Bronił się będę.

— Uchodź-że z nami, desperacie, powiadam si. Wyjedziemy do Turcji, przeczekamy burzę, a potem wrócimy i nadal żyć spokojnie będziem. Przyjaciele nasi nie zapomną nas. Książe pan, chociaż na banicji, ze zbyt wielkimi rodami jest spokrewniony ,by nie miał również liczyć na pomoc przyjaciół. A gdy on wróci — i my wrócimy. Pod opieką księcia pana będziemy mogli spać spokojnie.

— Nie, Michale — ja tu ostanę. Nie chcę iść z wami, bo nie mam celu ni przyszłości. Jestem moritorus, a takiemu cóż po życiu, gdy nie ma już nawet nadziei?... Nie obawiaj się, nawet wszystko wojsko carycy i tego małowanego królika nie weźmie mnie tu żywym. Będę się bronił, będę walczył, dokąd tchu w piersiach i albo obronię, albo zginę. Wracaj do księcia pana i podziękuj mu ode mnie za dobre serce, a zarazem pożegnaj i jego i brata Stanisława i przyjaciół... Nie zobaczymy się już pewnie nigdy... Ja tu ostanę.



Ulubiona artystka filmowa, Jean Harlow, zmarła niespodziewanie w ub. tygodniu na zapalenie mózgu.

Stary Breza wciąż stał pochylony do kolan pańskich, a z jego starczych oczu łzy bezwiednie ściekały.

Poznał pan Michał, że napróżno nakłaniałby brata do ucieczki, więc porwał go tylko w ramiona, w żalu utulić się nie mogąc, bo wydało mu się, jakoby konającego już żegnał.

Długo tak bracia obejmowali się ostatnim serdecznym uściskiem pożegnania, a gdy się w końcu rozłączyli, Jan znowu rzekł:

— Mnie tu już nic nie potrza, a wam tam na obczyźnie gotowizna przydać się może. O Józefie też nie zapominajcie.

I ująwszy brata pod ramię, powiódł go do rodzinnego skarbczyka, zebrał w jeden miech wszelką posiadaną gotowiznę, srebro, miedź, złoto — w drugi srebra stołowe, kobierce bezcenne, a gdy już wszystko było spakowane — wskazł je bratu i rzekł:

— Weźmiesz to wszystko, byście tam na obczyźnie biedy nie zaznali.

Pan Michał poczuł, iż łkanie bolesne zrywa mu się z piersi, które napróżno próbował zdusić w sobie. Mimo ogromnego wysiłku, nie mógł się powstrzymać i trząsł się cały jękiem i żalem wewnętrznym, który zdawał się go rozsadzać. W końcu wybuchnął łkaniem serdecznym, głuchym i jakże bolesnym i padł raz jeszcze w ramiona brata.

I długo tak bracia trwali, rozłączyć się nie mogąc. W końcu przecież opanowali się, a Jan, przywoławszy starego Brezę, kazał mu iść założyć konie do paradnej korocy w ósemkę, a resztę co przedniejszych do bryki powiązać.

— Weźmiesz je ze sobą Michale — mówił Jan. — Mnie już one niepotrzebne, a wy je tam na Wołoszczyźnie odsprzedacie końmi kupczącym Tatarom albo Wołochom. Gotowizna wam się przyda, a taki — ze skarbów naszych nie wpadnie nic w ręce mściwego królika i jego miłośnicy.

Jan był zupełnie spokojny i opanowany.

Gdy bryka pod ganek zajechała, wyniesiono na nią miechy, przytroczono koniami i bracia raz jeszcze padłszy sobie w ramiona, długo się żegnali, rozstać się nie mogąc.

— Z Bogiem, Michale! — mówił Jan, gdy brat siedział już na bryce. — Uściśnij Stanisława i o Józefie pamiętaj. Ja tu postaram się zabezpieczyć mu niejaką gotowiznę, by do czasu z głodu nie przymierał.

— Z Bogiem ostań, bracie — odrzekł starosta domaski. — Może Bóg da, że się jeszcze obaczym znowu razem wszyscy i w dobrym zdrowiu.

Bryka poderwała się z miejsca i rozpłynęła w mroku nocy, jeno głuchy turkot jej dawał znać, w którym kierunku się toczy.

A Jan stał na ganku i smutnie patrzył w zmrok nocy, posyłając braciom swoje ostatnie błogosławieństwo.

XXII.

„I ODPUŚĆ NAM NASZE WINY"...

Wieść o ucieczce księcia Panie Kochanku, Ciechanowieckich i wielu wybitnych plenipotentów frakcji radziwiłłowskiej za granicę, podawana z ust do ust, przeleciała lotem ptaka do stolicy. Właśnie pani Jadwiga poddawała się rannej tualecie, siedząc przed ogromnym lustrem i podziwiając piękno własnej postaci, wyłaniającej się spod zręcznych rąk fryzjera i licznej służby, gdy oznajmiono jej pana Rudominę, przybywającego w nader pilnej i ważnej sprawie. Zaciekawiona wielce, oddaliła służbę i kazała prosić pana Stanisława.

Wszedł, jak zwykle, wyelegantowany, lśniący bielą żabotu, koronek przy rękawach, w pięknie ufryzowanej białej peruce z harbajtlem wstążką związanym, pachnący kosmetykami i pachnidłami, wytworny, ujmujący.

Ucałowawszy dłoń ślicznej madame, zapytał o sen, o zdrowie, o króla jegomości, opowiedział parę pikantnych ploteczek, po czym dopiero zapytał:

— Madame, czy słyszałaś nowinę?

— Nowinę? Nie wiem, o jaką chodzi ci, monsieur?

— O księciu Panie Kochanku i Ciechanowieckich...

— No, powiadajże waćpan: smok nieświeski pojman, w dybach? Ciechanowieccy ścięci?

— Wręcz przeciwnie — uszli.

— Uszli?

— Madame Hedwige porwała się gniewna, zrywając z siebie pudermantel i depcząc go nogami.

— Co waćpan powiadasz?

— Niestety, madame, to się odmienić nie da, bo tak jest istotnie. Wiadomość jest wiarogodna, bo pochodzi od księcia kanclerza, który nadesłał królowi jegomości, a mnie ją podał hrabia Poniński.

Szalony gniew ogarnął panią Jadwigę. Zaczęła biegać po obszernej komnacie wzburzona, szarpiąc palcami drogocenny szal kaszmirski, dar ambasadora Potiomkina.

— Madame, gniew piękności szkodzi — rzekł pan Stanisław — a szkoda byłaby niepowetowana, aby tak cudne liczko miało zbrzydnąć.

Zatrzymała się na miejscu, rozmyślając nad czymś, po czym spytała:

— I wszyscy uszli? Nie było sposobu ich zatrzymania?

— Starosta opeski pozostał w swojej Opsie.

— Co? Ostał się?

Piękna pani jakby się odrodziła. Zniknęło wzburzenie, zniknął gniew, ale zawziętość jej jakby się jeszcze wzmogła. Zadzwoniła.

— Co pani chce zrobić, madame? — spytał zaniepokojony Rudomina.

— Pojadę do króla. Ciechanowiecki nie może uchować swojej głowy w Opsie.

— Spokojnie ,madame, pani interwencja spóźniona ,bo już tam wojska królewskie i najjaśniejszej carycy ruszyły na Opsę.

— Ruszyły, powiadasz, waćpan?

— Już pewnie są na połowie drogi.

Madame Hedwige odetchnęła z ulgą.

— Nareszcie!... — westchnęła, a jednocześnie zjawiła się umiłowana, tak długo śniona wizja upragnionej zemsty na Janie Ciechanowieckim. Cóż tam, że zemsta nie jest zupełną? Cóż tam, że książe Panie Kochanku i Ciechanowieccy wymknęli się z matni? Przynajmniej jeden ostał i na tym jednym zemsta dokona się za wszystkich. A ten jeden, to przecież najgłówniejszy, najbardziej znienawidzony. I jeśli jego głowa spadnie pod mieczem katowskim, sen o zemście dopełni się.

Jednocześnie madame Hedwige przypomniała sobie i starego, nieużytego Brezę i gniewem zapłonęła i do tego starca, wiernego swemu panu, jak pies. I ten musi paść, musi...

W tej chwili madame Hedwige zapisała śmierć staremu Brezie i śmierć ta miała się dopełnić.

A pan starosta opeski siedział wciąż w swojej Opsie i czynił ostatnie przygotowania do podróży w wieczność. Kazał młócić na gwałt wszystkie zboża we wszystkich swoich majętnościach i zostawiwszy jeno tyle, by służbie starczyło, resztę spieniężać, a gotowiznę sobie do Opsy bez zwłoki odstawić. Kazał też sprzedawać wszelkie bydło, konie i cokolwiek tylko do spieniężenia się nadawało, dostawiając pieniądze do Opsy.

Siedzibę swoją umocnił ostrokołami i rowem opasał, zapuszczając wodę do niego z jeziora. Wiedział on dobrze, iż się tu długo nie utrzyma, że nie obroni się przed najazdem i zemstą stolnika litewskiego i jego miłośnicy. Już mu też i przyjaciele byli donieśli o nadciągających ku Opsie wojskach i radzili uciekać póki czas, a nie kłaść dobrowolnie głowy pod ewangelię, ale pan Jan nieodmiennie zawsze im odpowiadał:

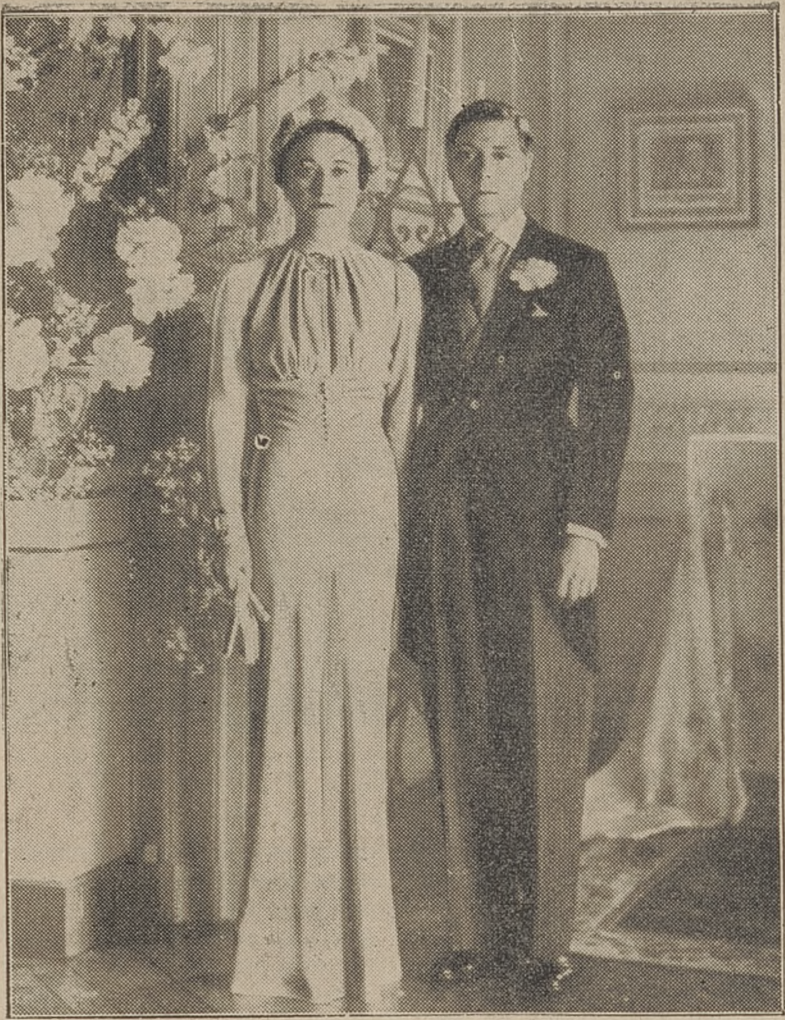
— Tu polegnę na progu mego domu, a nie ruszę się stąd nigdzie.

I nadal trwał w Opsie.

Komnatkę małżeńską, atłasami i kobiercami pięknie wybitą, obedrzeć kazał z wszelkich ozdób i złożywszy obicia na jeden wielki stos, spalić na dziedzińcu. A stojąc nad ogniem, raz po raz rzucał w płomień pamiątki po niewiernej, niczego nie szczędząc.

Wieczorami chodził po komnacie rycerskiej, dziś już z portretów i wszelkich ozdób ogołoconej, odmawiał pacierze i między „święć się imię Twoje“ a „przyjdź królestwo Twoje“ pytał nieodmiennie starego Brezę:

— Breza! Nie boisz ty się śmierci?



W miejscowości Tours we Francji, odbył się ślub byłego króla angielskiego Edwarda VIII z p. Wallis Warfield-Simpson. Na zdjęciu młoda para po ceremonii ślubnej.

— Nie, wasza miłość... Ja już nad grobem, tedy mi wszystko jedno, czy dziś, czy jutro umrę.

Ale zawszeć to lepiej umierać prostą, naturalną śmiercią, niż gwałtowną.

— Mnie to już wszystko jedno, wasza miłość — odpowiadał stary jednakowo.

Więc pan starosta kończył pacierze, a ilekroć wymówił: „I odpuść nam nasze winy, jak i my odpuszczamy naszym winowajcom...“, — odzywał się do Brezy:

— Jak myślisz, stary, żali dobry Stwórca przebaczy mi moje grzechy, kiedy przed groźnym obliczem Jeog stanę?

— Bezwątpienia przebaczy, wasza miłość.

— A gdyby nie? W piekle przyszłoby mi się pewnie smażyć może całe wieki.

— Bóg sprawiedliwy widzi mizerię waszej miłości. Mało to wasza miłość nacierpiał się? Małoż mąk przeszedł? Toż małżeństwo waszej miłości jednym łańcuchem cierpień było...

— A juźci... — odrzekł w zamyśleniu starosta. Poczem znowu zapytał:

— A w piekło z jego ogniem, w szatańców, wierzysz ty, Breza?

Stary przeżegnał się z lękiem.

— Jakżeż to, wasza miłość?... Toż grzech śmiertelny wątpić...

— Dla jednych grzech, dla drugich nie... Ale bo widzisz, stary, są we Francji pisarze głośni, jak Wolter i Housseau, którzy drwią z piekła i jego mąk i powiadają, że to strachy na Lachy.

— W imię Ojca i Syna... wasza miłość, mnie nie godzi się słuchać tego... Toż to grzech śmiertelny. A poza tym — cóż tam tacy skrybowie wiedzieć mogą? Zaliż był tam który z nich?

— Pewnie, że nie był, ale czyż który z klechów, co piekłem straszą, był tam również?

Stary znowu się przeżegnał i nic nie rzekł, a pan starosta dalej pacierze jął odmawiać.

W przewidywaniu bliskiej śmierci, Ciechanowiecki modlił się teraz wieczorami długo, a zagadka odpuszczenia grzechów i mąk piekielnych nie schodziła mu z myśli. Był jednak przekonany, że w tym drugim życiu, do którego się sposobił, ukaranym być nie może, bo dość się nacierpiał. A gdyby nawet spotkała go kara, to jużcić pewnie tam ze dwieście — trzysta lat czyśca, co i nie wydaje się być zbyt bolesnem. Potem otworzą się wrota raju i wejdzie święty Jerzy, który jest patronem wszelkiego rycerstwa chrześcijańskiego i zawoła:

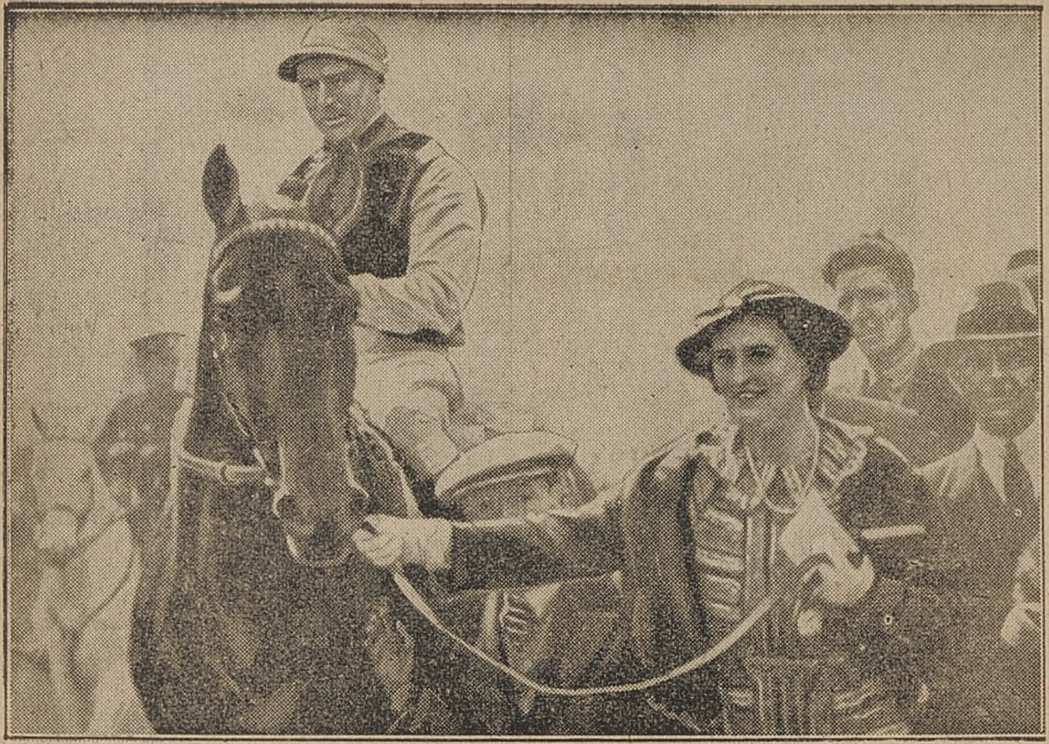
— Janie Ciechanowiecki, żyjesz li jeszcze?

— Żyję wasza miłość — odpowie Jan.

— Tedy pójdź, bo skończyła się twoja kara i Pan wzywa cię do raju.

I starosta lekkim krokiem przejdzie po płomieniach czyścowych, nie czując żadnych cierpień i wstąpi we wrota raju, aby tutaj zapomnieć o wszelkich bólach i dolegliwościach, jakie istnieć gdziekolwiek mogą.

Tak to rozmyślał często pan Jan Ciechanowiecki, czekając najścia nieprzyjaciela. Jakoż znowu dano mu znać, iż



Ostatnie wyścigi hippiczne w Londynie zaszczyciła swą obecnością angielska para królewska. Fotografia nasza przedstawia mrs. Hiller, cieszącą się ze zwycięstwa swego konia.

ekspedycja zbrojna, z wojsk carskich i królewskich złożona, znajduje się zaledwie o dwa dni drogi od Opsy.

Wtedy pan Jan kazał zaprząc ostatnią parę koni do bryczki, załadować na nią wszelką gotowiznę, zebraną ze swoich włości, zbroje rycerskie, broń po pradziadach, portrety, resztę dobra ruchomego i przywoławszy starego Brezę, rzekł mu:

— Pójdziesz do pana Michała Glińskiego z pismem i wszystko to, cokolwiek na bryce się znajduje, wraz z samą bryką i końmi — tam ostawisz. po mojej śmierci Opsa pewnie nie będzie już naszą, potrzeba tedy, aby panu Józefowi, który w Paryżu obecnie bawi, zostawić coś na czarną godzinę i do życia, by zasię łaski niczyjej nie łaknął.

Stary Breza rozbeczał się na dobre, kolan pańskich się czepiając i prosząc, aby ostawił go przy sobie, a kogo innego wysłał, ale pan Jan odrzekł mu na to łagodnie:

— Nikogo innego posłać nie mogę, bo nikomu tak nie ufam, jak tobie, mój stary. Więc mi się już nie wymawiaj, ale jedź i — bywaj zdrów. Pana Glińskiego pozdrów i ode mnie pożegnaj.

Wyprawiwszy starego sługę, pan Jan zajął się ostatecznymi przygotowaniami do obrony, wyznaczając miejsca strażom i sam przez całą noc czuwał, trawiąc godziny samotne na rozpamiętywaniu dawnych lat i dawnych dziejów. Wspominał swoje dzieciństwo, młodość, zaloty i ożenek, szczęście, jakie w dom jego weszło wraz z żoną, potem walki, zajazdy, utarczki, całe owo piekło, aż do wyroku warszawskiego na Ciechanowieckich i do ucieczki dwóch braci. Sen go odbiegł, zmęczenia żadnego nie czuł i tak przetrwał aż do rana.

Zszedł znowu na ziemię dzień piękny i pogodny, pełen spokoju i łagodnego tchnienia natury.

Wojska wraże nie nadchodziły.

I ten dzień minął spokojnie i znowu przyszła noc. W rynsztunku bojowym siedział znowu starosta w swojej komnacie, gotowy każdej chwili do obrony, a dookoła panowała cisza nieruchoma i martwa. Cały pałacyk nad drzemiącym jeziorem zdawał się wypoczywać otulony zmrokiem spokojnej nocy.

Naraz w tę ciszę nocną wdarł się warkot bębnów wojennych, z początku daleki i zgłuszony odległością, niby brzęk chmary utrapionych komarów, a potem coraz wyraźniejszy i donioślejszy.

Zerwał się starosta z siedzenia i spojrzał przez okno, ale nic nie dojrzał. Poszedł więc do straży i oznajmił im przybywanie gości.

— Idą już — rzekł — idą szumno i głośno, pewni zwycięstwa.

— Spotkają nas gotowych do walki — odpowiedzieli mu czuwający.

— Żadnych odpowiedzi na wołanie, prócz kul, żadnych paktowań.

Bębny warczały już teraz znacznie bliżej, brzmiały głucho i groźnie. Wszyscy w pałacyku czekali, czuwając. Po chwili bębny zamilkły i odezwał się głos trąbki. Wyjrzał starosta znowu i zobaczył moc pochodni i zwarty mur postaci żołnierskich.

— W imieniu jego królewskiej mości króla polskiego, wielkiego księcia litewskiego, ruskiego, pruskiego, mazowieckiego i t. d. i t. d. — otwórzcie i poddajcie się — rozległ się donośny głos po polsku.

— Zaraz my ci tu otworzymy bramy piekieł, mości parlamentarzu — mruknął starosta i równocześnie rzucił komendę: — Ognia!

Huknęło kilkanaście wystrzałów, niby z bicza trzasł i parę postaci żołnierskich zwaliło się na ziemię. Zaczęto gasić pochodnie i kryć się za drzewami i wyniosłościami gruntu, a jednocześnie sypnął się na pałacyk grad kul.

Wywiązała się obustronna strzelanina, bardziej szkodliwa dla oblegających niż dla oblężonych i zamkniętych w pałacyku.

Wymieniano wciąż strzały, ale atakujące pałacyk wojska moskiewsko-polskie nie kwapiły się zdobywać go w ręcznym boju z obrońcami. Dopiero gdy miesiąc ukrył się za gęstą oponą chmur, pogrążając ziemię w półmrok, zerwały się postacie ludzkie tu i tam, z poza drzew i wyniosłości i kopnęły się ku fosie. Tu znowu padły, strzelając w dalszym ciągu, ale dalej nie mogły się posunąć ani na krok, bo szeroki rów, zalany wodą z jeziora i brak jakiegokolwiek mostu, nie pozwalały na dalszy pochód. Ale też żołnierstwo napastnicze nie próbowało wcale sforsowania fosy. Poukrywawszy się gdzie kto mógł, leżeli za schronami i strzelali wciąż do pałacyku, ziejącego ze swej strony bez przerwy morderczym ogniem.

Na takiej strzelaninie zbiegła noc. Ranek zszedł znowu pogodny i jasny, ukazując oblegających jak na dłoni i wystawiając ich na cel kul ludzi starosty. A że odległość była bardzo niewielka, zniszczenie w szeregach królewsko-carskich kule czyniły wielkie. Pragnąc snać oszczędzić ludzi, do których starosta mógł celować jak do kaczek, wycofano wojsko z bezpośredniego sąsiedztwa pałacyku i w ciągu reszty dnia wojska te nie pokazały się na oczy oblężonym.

— Albo stchórzyli, albo planują jaką diabelską sztukę nas wziąć — mówili między sobą obrońcy.

A starosta, siedząc w swojej komnacie na górze, rozglądał się ciekawie dokoła i widział, iż żołnierstwo napastnicze zasypuje dopływ wody z jeziora do fosy i kopie równocześnie głęboki rów w stronę niewielkiej łączki.

Nad wieczorem spostrzegł starosta, iż żołnierze rozbierają chlewy i stajnie i zrozumiał w jednej chwili o co tu chodzi. Niestety, pan Jan nic na to zaradzić nie mógł.

Gdy noc zapadła, przekopano rów, mimo strzałów, do fosy i woda z niej szumem i hukiem zaczęła odpływać na łączkę. Potem zaatakowano z gromkimi krzykami „hura" pałacyk ze wszystkich stron. Prawie w jednej chwili zawalono fosę, teraz już bezwodną, bierwionami, dylami i słomą z rozebranych stajen, rozerwano ostrokoły i podsunięto się pod sam pałacyk. Zadźwięczały siekiery i oskardy na wrzeciądzach drzwi, strzały i krzyki wzmogły się.

— Rubi! Rubi! — wołali nieustannie oficerowie moskiewscy.

Posypały się drzazgi z drzwi, strzelanina jeszcze się wzmogła, wrzawa piekielna wzrosła.

— Naprzód! Naprzód! — wołali oficerowie królewscy.

— W pieriod! W pieriod! — grzmiało po moskiewsku.

A oblężeni milczeli, tylko wysyłali kulę za kulą w czerniejące masy ludzkie, pod ścianami i trup padał gęsto.

Wreszcie padły drzwi wejściowe pod naporem ramion ludzkich i fala żołnierstwa runęła do środka. Lecz jednocześnie błysnęło kilkanaście fioletowo-żółtych płomyków i grad kul wbił się w tłum ludzki. Wraz też rozległy się bolesne jęki rannych i konających, poranionych ołowiem i niemiłosiernie deptanych przez nacierający z tyłu tłum, wrzawa bitewna spotęgowała się, a ława ostrz bagnetów pochyliła się do wysokości piersi ludzkich. C. d. n.

ADAM NASIELSKI

8)

Tajemnica zamkniętego gabinetu

Potem nadeszła Janina Stokowska i wymieniła w rozmowie dwie osoby 1) „x" — konkurent o rękę 2) swą matkę. Podstawowa zasada śledcza — wszechstronność — wymaga przesłuchania wszystkich osób, których nazwiska zostały wymienione w notatkach i zapiskach dochodzenia. „X" — konkurent, nie mógł być stawiony, na razie przed oblicze Żbika. Pozostawała pani dyrektorowa Stokowska i woźny Lipiński. Trudno trzeba odwalać szablonową robotę i wypełniać obowiązki, za które otrzymuje się pensje. Niezawsze zdarza się taka tajemnicza historia, z której odrazu możnaby skleić powieść kryminalną, z tajemniczymi wejściami, efektami świetlnymi, browningami i trupem z odrąbaną głową, zamordowanym na wszystkie sposoby oprócz możliwych i logicznych.

Wywiadowca Więcek ze względu na swą inteligencję i wykształcenie nadawał się najlepiej do poufnych, delikatnych misyj. Wezwany, stawił się natychmiast.

— Słucham, panie naczelniku.

— Chcę, abyś mi sprowadził panią Stokowską — nawet nie wiem, jak jej na imię. Dowiesz się także adresu, pójdziesz i dostarczysz w opakowaniu, bez hałasu. Rozumiesz?

— Kapuję. Baba zorientuje się o co chodzi dopiero, gdy stanie przed panem inspektorem.

— Tak. Odjazd! Po drodze zawołasz do mnie woźnego banku. Nazywa się Franciszek Lipiński i jest gdzieś zamknięty w towarzystwie policjanta.

— Rozkaz!

Woźny — chudy, anemiczny, wystraszony, płaz — jeżeli użyć określenia Janiny Stokowskiej. Asocjacja, czy rzeczywiste wrażenie, raczej bo to pierwsze. Drżące kolana, co pół minuty przełknięcie śliny, małe, kaprawe oczka, wzdęty brzuch. Budowa wybitnie anormalna. Patrzał na inspektora bezdusznie, jak na istotę, której się nigdy nie rozumie.

— Nazwisko...

Imię, lat czterdzieści sześć, katolik, nie karany i tak dalej. Służy w banku od ośmiu lat, wdowiec. Dyrektora Stokowskiego? — zna od dwóch lat. Zgadza się. Nie słyszałem, proszę o powtórzenie pytania.

— Czy dyrektor Stokowski zawsze pozostawał po godzinach urzędowych?

— Ostatnio, codziennie.

— Sam?

— Nie, pan Downar zawsze zostawał z nim razem. Obliczali coś, chyba.

— A pan Makarski?

— Dziś pierwszy raz przyszedł po obiedzie.

— Przyszedł? Nie został.

— Wyszedł na obiad i wrócił po godzinie. Pytał czy pan dyrektor już jest.

— Wyraźnie wypowiedział słowo: „już".

Skinienie głową. Tak jest. Potem Lipiński powtórzył zeznania: Nadbiegł Downar i powiedział, że stało się nieszczęście i kazał mi wziąć zapasowe klucze. Co pan robił? Spał, chciał zdrzemnąć się. Zawsze, po obiedzie. Starość nie radość, wiek, panie Boże...

— Dość.

Aspirant zaprotokułował dokładnie całe zeznanie. Nudna robota, nieciekawa. Odprowadził kreaturę i sprowadził Edwarda Downara, który przede wszystkim poprosił o papierosy, gdyż wypalił już wszystkie, jakie miał.

— Proszę.

Żbik poczęstował go „Madenem"i odebrał odeń zeznanie do protokułu. Właściwie nie było o co go wypytywać, gdyż inspektor mógłby to zeznać zamiast niego.

— Chciałem prosić, panie inspektorze...

— Do domu? Chyba wkrótce. Już kończymy.

— Nie. Ja mieszkam w gmachu banku. Chcę prosić o pozwolenie udania się do mego pokoju. Przekąszę cośkolwiek.

— Proszę. Nie chcę nikogo zagłodzić. Jeszcze tylko kilka pytań. Słyszałem, że dyrektor Stokowski przychodził ostatnio do banku i pracował z panem w godzinach popołudniowych.

— Przygotowywaliśmy wykazy wierzycieli i obliczaliśmy specjalne operacje gwarancyjne. nie wiem, zresztą, pan jest oficerem policji, więc..

— Śmiało.

— Nasz bank, a raczej dyrektor Stokowski finansował niektóre, hm... ruchy polityczne.

— Zbrojenia.

— Tak.

— Jaka jest pańska opinia o Jerzym Makarskim?

— Bardzo spokojny i inteligentny człowiek. Był ulubieńcem dyrektora.

— Czy nie wie pan jakie znaczenie odegrało w życiu Stokowskiego słowo: „Ozyrys".

— Usłyszałem je poraz pierwszy z jego ust wtedy, razem z panami, gdy opowiedział tę historię, którą pan nazwał nowelą.

— Kiedy Erazm Stokowski był w Egipcie?

— Dwa lata temu, zdaje się. Tuż po przyjeździe objął stanowisko dyrektora naczelnego Banku Południowego.

— Czyli wolno wnioskować, że jego podróż na wschód miała związek z objęciem funkcyj dyrektora banku.

— Może nawet była przyczyną tego.

— Jaki był stosunek Stokowskiego do Jerzego Makarskiego?

— Normalny.

— To wszystko. Dziękuję panu.

Pierwszy sekretarz wyszedł i Żbik został w gabinecie w towarzystwie aspiranta. Ziewnął przeciągle, choć nie był jeszcze śpiący. Ale już mocno znudzony.

— Która?

— Pół do ósmej.

— Obliczmy przesłuchanie damy na pół godziny i jeszcze kilka formalności. Na dziś dość, zdaje się. Każę odwieźć Makarskiego do Urzędu Śledczego i robota skończona. Prędko poszło i jestem zadowolony.

— Jest jeszcze kilka ciemnych punktów.

— Ale to się wyjaśni. Grunt, że mamy sprawcę. Wynik dodatni, reszta mięta.

Aspirant spojrzał na swego zwierzchnika i przyjaciela uważnie i z zaciekawieniem. Znał go dobrze i niewiele uchodziło jego spostrzegawczości, z której cichy i skromny Adam Bilewski słynny był w pewnych kołach...

— I po co ty bujasz, Bernardzie. Jesteś najwyraźniej niezadowolony z tego całego rozwiązania, z dodatniego wyniku, ze schwytania sprawcy, i z wszystkiego od samego początku.

— Nie tyle niezadowolony ale rozczarowany. Gdy ujrzałem po raz pierwszy Jerzego Makarskiego, określiłem go jako bardzo bystrego i rozgarniętego. Dziś również, pierwsze wrażenie było identyczne, człowiek, który wie czego chce. A jednak — jak on się zachował po dokonaniu tego morderstwa — jak smarkacz. Zatrzymał klucz, zostawił ślady palców — a jednocześnie wygląda zupełnie, ale to całkiem przy-

tomnie. Chyba, że jest umysłowo chory. Więc gdzie moje oczy?

— Jednym zdaniem, chciałbym uwierzyć temu, że on jest niewinny. W takim razie Stokowskiego musiał zabić duch w masce i my możemy pójść do domu i pisać nowele sensacyjne ze wszystkimi akcesorjami.

— Przestańmy to wałkować, Adasiu. Jeszcze przesłucham żonę zabitego i wieje. Nie chcę mieć z tym więcej nic do czynienia. Tym razem nie będę ani na milimetr pilniejszy niż tego ode mnie wymagają przepisy. Ogranicze się do zwykłego szablonu. Skoro niejaki pan Jerzy Makarski chciał popełnić samobójstwo przy pomocy Sądów Rzeczypospolitej, kata i całej procedury — to jego sprawa. Ja jestem od tego, żeby wykrywać zbrodnie, a nie żeby wygłupiać się makabrycznie pod takt batuty młodego wariata.

Detektyw zasępił się i zamilkł. Nerwowo bębnił palcami o blat biurka i ze zamkniętymi oczyma próbował wyobrazić sobie rozwój wypadków i scenerie: Jerzy Makarski, amator-detektyw i osobnik o kryminalistycznym zacięciu postanowił z jakichś powodów popełnić samobójstwo. Nie mając odwagi wręcz, zdecydował się na tak zwane samobójstwo rozszerzone — przez dokonanie przestępstwa, za które zostanie skazany na śmierć. Wiedząc, że Stokowski przebywa w godzinach popołudniowych w banku i żywiąc do swego szefa podświadomą nienawiść (groźby, nawet mimowolne, też mają swe znaczenie) przybył, zakłuł swego szefa i zostawił nienaruszone wszelkie możliwe ślady. Po nadejściu policji, przychodzi opamiętanie i chęć do życia — co ja zrobiłem! — i bronił się możliwymi sposobami, wypierając się w żywe oczy. — Tak by się przedstawiało uzasadnienie psychologiczne zbrodni. Technika wykonania — Jerzy Makarski zbliża się z ostrym, lekko zakrzywionym sztyletem w ręku. Wysoka postać Stokowskiego, który chwyta za telefon. Zdążył wypowiedzieć pięć słów do Downara i... cios w plecy, prosto w serce. Żbik i sekretarz biegną na dół, drzwi zamknięte. Otworzyć! Alarm! Trup! Ktoś musi być w zamkniętym terenie — i jest. Aresztuje! Koniec.

Koniec? A Ozyrys? Pal to sześć, skoro mamy mordercę. Bernard Żbik miał ochotę zdać resztę śledztwa skrupulatnemu i pozbawionemu polotu romantycznego aspirantowi Kobylańskiemu i iść stąd — bo to wszystko mierzwi i nic więcej. Właściwie inspektor nie był obowiązany zostać. Czarna robota. Nic specjalnego. Przodownik rejonowy na pewno nie będzie grzebał w psychologii i psychopatalogii — dowody są, sprawca jest, raport, melduje posłusznie panu komisarzowi i basta.

Toteż spojrzał na panią Eugenię Stokowską z lekkim zniechęceniem. Wiecek przyprowadził ją wprawdzie nie tak bardzo w opakowaniu i niezbyt cicho, skoro płakała. Grunt, że była. Usiadła.

Twarz mało inteligentna lecz opanowana, pomimo łez, mogących zresztą stanowić formę — kiedy wypada płakać. Ubrana elegancko! wcale nie stara, przynajmniej młodo wygląda.

— Mój, mąż nie żyje, prawda, proszę pana.

Ciekawe skąd ona o tym wie. I mówi to tak spokojnie. Dziwna rodzinka. Jaka mać taka nać.

— Został tylko lekko raniony i czuje się dobrze. Wezwał panią, gdyż chce z panią pomówić o Ozyrysie.

— O kim?

Jeżeli zdziwienie jest udane — to udane genialnie. W każdym razie kłamstwo chybiło celu.

— Kto to jest Ozyrys, proszę pana. Wiem, że mój mąż obawiał się ostatnio czegoś, ale tego nazwiska nie słyszałam.

Cisza. Mimo wszystko pani Stokowska nie wyglądała na bardzo przejętą ni na wzruszoną. Oddychała lekko acz widocznie. Pachniała, aż diabli mogą wziąć. Z taką płytką twarzą i z takimi perfumami można było uwierzyć, że nigdy nie słyszała o Ozyrysie. Inspektor ocenił ją na elementarne wykształcenie najwyżej i zaczynał trochę rozumieć farsę i pogardę córki. Ale przecież nie o to w tym wypadku chodziło — ta właścicielka jachtu, Packarda i chinchillowego futra może nawet być analfabetką — lecz kogo lub co oznaczał Ozyrys. Dotychczas nikt z przesłuchiwanych nic o nim nie wiedział, lub nie chciał powiedzieć.

— Jestem zaniepokojona o męża, prosze pana. Chcę poradzić się lekarza. Erazm był zawsze taki dziwny, wie pan.

Zawsze?...

— Jak dawno państwo są po ślubie?

— Dwa lata.

I „zawsze". Wszystko jest względne. A świętej pamięci Stokowski kupił żonę — córka nie przesadziła. Co on w niej mógł takiego widzieć. Może płytkość i brak własnego ja. Ciało — Bóg to wie. Przemógł się i zadał Eugenii Stokowskiej jeszcze kilkanaście pytań. Po za kilkoma wiadomościami o objawach zdenerwowania męża — zdenerwowania dla inspektora zrozumiałego — nie dodała pani Stokowska nic, „wie pan".

Pozwolił jej wrócić do domu, dodając, że narazie nie może się zobaczyć z mężem, co dama przyjęła obojetnie i została przez aspiranta odprowadzona do wyjścia. Adam wróci oczywiście odrazu.

— Cudo — nie Packard. Wariacki świat. Nie zgadniesz dokąd ona pojechała! — Do kawiarni.

Bernard Żbik wstał, schował notes do teczki i miał zamiar na dzisiaj zakończyć sprawę, gdy do gabinetu wszedł aspirant Kobylański i zameldował, że Jerzy Makarski chciałby zobaczyć się z panem inspektorem w bardzo ważnej sprawie.

Detektyw zerwał się jak zelektryzowany.

— Przyprowadź go natychmiast.

Propozycja, jaką usłyszeli po chwili od Jerzego Makarskiego, była najdziwniejsza z tych jakie inspektor mógł sobie wyobrazić.

X.

Propozycja mordercy

Pierwszym, co zauważył Żbik, była zmiana w obliczu Makarskiego. To już nie wesołe, pogodne, ba, uśmiechające się oczy. Lśniła w nich powaga i pewna decyzja. Trzymał się prosto i bodaj dumnie — co w połączeniu ze zniknięciem cynizmu spojrzenia stwarzało wrażenie, że człowiek ten powziął jakieś ważne postanowienie. I tak było istotnie.

Drugim odruchem inspektora — po sekundowym entuzjaźmie — było zniechęcenie. Bo cóż nowego mógł zaproponować ten młody człowiek, oprócz jakiegoś wykrętu, wybiegu, mniej lub więcej sprytnego, odraczającego moment aresztowania o kilka minut lub dni — co będzie zupełnie zrozumiałe. Inspektor Żbik aresztował już w życiu niejednego mordercę i wiedział, że człowiek zaatakowany, nawet przez prawo w osobie jego przedstawicieli, broni się jak może. Usiłuje uniknąć ostatecznego ciosu, godzącego weń nieuchronnie — czy cios ten nazywa się nakazem

rewizji osobistej, wyrokiem, czy apelacją. Tak, też i tu. — Ostatecznie, technicznie sprawa przedstawiała się jasno i przejrzyście i nie trzeba wcale powtarzać znanej nam już argumentacji: — zamkniętego terenu, zamkniętej osoby sprawcy sam na sam z ofiarą. No, i dowody.

Może więc Jerzy Makarski będzie usiłował usprawiedliwić się, powołać się na okoliczności łagodzące, a nawet na przymus nieodporny, stan wyższej konieczności, obronę konieczną w rozmaitych jej formach. Prawnik przecież i obsolwent medyczny, pomimo dopiero ukończonych dwudziestu dziewięciu lat. Właśnie — takie forsowne studia mogą wypaczyć charakter, osłabić wolę i — później skutki. Zabójstwo, przewrażliwienie uczuć — oto przyczyna.

Okazało się jednak coś innego. Morderca — jakże inaczej go nazwać — spojrzał na siedzącego na krawędzi biurka detektywa, badawczym wzrokiem przemknął po postaci aspiranta, obserwującego go z zaciekawieniem i zbliżył się odważnie.

— Pan chciał złożyć jakieś dodatkowe zeznanie.

— Możemy to nazwać i tak.

— Czy to jest nagłe? Może odłożymy na jutro.

— Wolałbym nie. Chce panu coś zaproponować, inspektorze. Wiem, że moja oferta będzie nieco niesamowita, lecz nie widzę innego wyjścia.

Po tym wiele, lub nic nie mówięcym wstępie Makarski rozejrzał się dokoła i rzucił dziwną uwagę.

— Szkoda, że już usunięto ciało.

Co to miało oznaczać. W każdym razie coś niezwykłego. Bernard Żbik zmierzył „objekt" badawczym, bystrym spojrzeniem. Inspektor uchodził w pewnych kołach za człowieka, którego niepodobna okłamać. Z wyrazu oczu poznał, że obwiniony chce mu powiedzieć coś naprawdę ważnego w jego mniemaniu.

— Przede wszystkim jedna uwaga. Jeżeli wziąć pod uwagę moje nieprzyzwyczajenie się, zdziwić musi pana mój stasunek do śmierci Erazma Stokowskiego. Skoro już obstanę przy tym, że nie jestem mordercą, śmierć szefa powinna była dotknąć mnie normalnie. Powinienem więc popłakać, pobiadać — już choćby w konsekwencji mego stanowiska wobec oskarżenia pana inspektora. A jednak zachowuję się zimno, ani słowem nie wyraziłem żalu z powodu śmierci człowieka, który był moim szefem i ojczymem mojej narzeczonej. Zastanowiłem sie sam na tym obiawem i doszłem do wniosku, że pańskie oskarżenie, inspektorze, i dowody — zgnębiły mnie nieco. Stąd efekt.

Te uwagi były logiczne i psychicznie prawidłowo wprowadzone. Za tym znów sprzeczność — człowiek mądry i inteligentny, pierwsze wrażenie potwierdza się, i jak to pogodzić z kluczem i z odciskiem palców.

— Jestem oskarżony o najohydniejszy czyn pod słońcem — zaczął Jerzy Makarski stanowczo — o mord własnego pracodawcy przez zakłócie sztyletem z tyłu. Wszystkie dowody świadczą przeciwko mnie. Nie jestem taki głupi, zaślepiony i nieinteligentny, aby nie widzieć, nie rozumieć — że sprawa stoi dla mnie w świetle najgorszym. Przeciwko mnie świadczy żelazny dowód z odcisków palców, o którym wspomniał mi pan aspirant, ten dowód klasyczny ideał każdego detektywa. W mojej kieszeni znaleziono klucz, a mnie samego zastano w zamkniętym pokoju sam na sam z zamordowanym i to w porze, kiedy powinienem znajdować się poza bankiem — bo przybyłem w godzinach nieurzędowych i nie wzywany przez szefa. Widzi pan, inspektorze, przyznaję fakty, o których nikt by panu nie mógł powiedzieć, bo Erazm Stokowski już nie żyje. To nie on mnie tu wezwał — zwabił mnie jego morderca.

Po tym wstępie do aktu samooskarżenia, zaczerpnął tchu.

— Ponadto bezmyślna groźba wypowiedziana przeze mnie w zeszłym tygodniu pod adresem Stokowskiego, fakt że byłem potajemnie zaręczony z jego córką, kiedy on sprzeciwiał się kategorycznie naszemu związkowi — to są poszlaki druzgocąco obciążające i zdaje sobie sprawę że nawet najzdolniejszemu adwokatowi trudno byłoby obronić mnie przed sądem i uwolnić od kary, która mi się nie należy, — b o j a n i e z a b i ł e m.

Ujrzał drwiąco-wyrozumiały uśmiech aspiranta Kobylańskiego, kamiennie wyczekującą twarz Bernarda Żbika, lecz nie zraził się tym.

— W tym stanie rzeczy — ciągnął — nie pozostaje mi właściwie nic do czynienia, jak poddać się fatalnemu „zbiegowi" piekielnie dobrze obliczonych „okoliczności" i udać się jak baranek na rzeź, bo tak chce człowiek, który to wszystko zaaranżował. Czy dziwnym się więc wyda, że będąc przeświadczony o mojej niewinności postanowiłem podjąć próbę obrony.

Tu zwrócił się wyraźnie do inspektora.

— Wiem, chce pan powiedzieć, że jedyną obroną jest prawda. Ale wy tej prawdzie nie wierzycie — i słusznie. Zbyt dużo dowodów świadczy przeciwko mnie. Pozostaje mi jedno. Znaleźć przeciw dowody. Będzie to trudne, bardzo trudne, — bo widzę, że zbrodnia ta została przez wykonawcę wykonaną od a do z. Za dużo w niej wyrafinowania dobranych przeciwko mnie szczegółów, aby mogły one stanowić jeno przypadkowy zbieg okoliczności. A jednak, chce wierzyć, że gdy poszukam — znajdę może jakiś trop. Mam do tego niezwykły doping — groźba szubienicy.

Uśmiechnął się:

— Jestem młody, chcę żyć, miałem i mam rozmaite, przez instynkt inteligencji podyktowane plany i nie zrezygnuję z nich za jednym zamachem — bo komuś na tym zależy. Postanowiłem się bronić. Panie inspektorze, teraz jest godzina ósma. Niech mi pan da j e d n ą godzinę — w czasie której sam przeprowadzę coś w rodzaju śledztwa w pańskiej obecności i postaram się, przynajmniej postaram się udowodnić mą niewinność. Nie będzie to nawet dla panów strata czasu — i tak procedura wymaga mego przesłuchania, a przysięgam, że nawet w obliczu kata nie zmienię ani słowa w zeznaniu, które usłyszycie — bo będę mówił tylko prawdę.

Bernard Żbik zastanowił się szybko. Propozycja była niezwykła, to prawda — ale godzinę, sześćdziesiąt minut czasu można Makarskiemu dać dla samego spokoju sumienia — tym bardziej, że i dla inspektora nie wszystko było jasne. Tajemnica Ozyrysa wciąż nie dawała spokoju jego myślom. Bo 1) co oznaczała nowela o grobowcu Ozyrysa, opowiedziana przez bankiera 2) figurka Ozyrysa, 3) notatki na obliczeniu giełdowym i 4) kłamstwo Janiny Stokowskiej. To były bezsprzecznie cztery punkty niewyjaśnione i Bernard Żbik miał właśnie zamiar zapytać się o nie tego, który zabił Erazma Stokowskiego. Teraz rozmyślił się — postanowił zaczekać i nie wspominać o Ozyrysie aż do czasu, gdy Jerzy Makarski ostatecznie zrezygnuje z beznadziejnych, aczkolwiek psychologicznie ciekawych, prób obrony. Nie było czego się spieszyć — skoro mieli mordercę w ręku.

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)

Najciekawsze audycje Polskiego Radia w Warszawie

Niedziela, dnia 20 czerwca 1937 r.

8.00 Audycja poranna; 9.00 W 18-tą rocznicę powrotu do kraju IV Dywizji Strzelców gen. Żeligowskiego (Transmisja nabożeństwa z kościoła św. Antoniego w Warszawie); 10.00 Transmisja z Pola Mokotowskiego fragmentu Ogólnopolskiego Kongresu Zw. Młodej Wsi.; 12.03 „Tatry" — koncert w wykonaniu Orkiestry P. R.; 13.10 Koncert rozrywkowy; 14.40 „Wszystkiego po trochu" — audycja dla dzieci; 15.00 Audycja dla wsi; 16.00 Melodie i tańce mazurskie; 16.30 Płyty; 17.00 „Cytryny sycylijskie" — komedia w Teatrze Wyobraźni; 18.00 „Kawa przy mikrofonie"; 20.00 Muzyka lekka i piosenki (płyty); 21.00 „Konkurs na Galapagos" — Kukułka Wileńska; 22.00 Koncert solistów.

Poniedziałek, dnia 21 czerwca 1937 r.

6.15 Audycja poranna 12.25 Popularne melodie w wyk. na instrumentach dętych 12.40 „Od warsztatu do warsztatu", audycja poświęcona pracownikom instrumentów muzycznych 16.00 „Bajki dla dzieci opowie Mariusz Maszyński 16.15" 16.15 Męski chór ukraiński im. Łysenki 16.45 „Zagadkowi ludzie" — „Kempelan i jego automatyczny szachista" — felieton 17.00 Koncert solistów 17.50 „Co się dzieje w naszym ogródku" — pogadanka 18.15 „Michele Fleta śpiewa" (płyty) 18.50 Reportaż z Targów Gdyńskich (z Torunia) 19.00 Audycja żołnierska 19.40 „Propagujemy naukę pływania" — pogadanka sportowa 20.00 „Kalejdoskop", — audycja muzyczna 21.00 „Cztery rzeczy w Polsce słyną" — audycja muz. liter. 21.45 „O roku ów" — Początek XI. księgi „Pana Tadeusza" 21.55 Koncert wieczorny w wyk. Orkiestry P.R.

Wtorek, dnia 22 czerwca 1937 r.

6.15 Audycja poranna 12.25 Fragmenty oper Moniuszki (płyty) 16.00 „Rzeczy ciekawe z pięciu części świata" audycja dla dzieci 16.20 Gabriel Fauré: Sonata op. 13 A-Dur 16.45 „Winniki" — miasto tytoniu" — felieton 17.00 Koncert Orkiestry P.R. 18.15 Piosenki operetkowe w ujęciu orkiestrowym (płyty) 19.00 „Spadek" — skecz Stelli Olgierd 19.15 Recital fortepianowy Stanisława Szpinalskiego 20.00 Muzyka lekka i taneczna w wyk. Orkiestry Wileńskiej 21.45 „Przygoda Stasia" — opowiadanie B. Prusa (cz. I-sza) 22.00 Arie i pieśni w wykonaniu Walentyny Walewskiej 22.20 Reinhold Glier: Kwartet smyczkowy A-dur op. 2.

Środa, dnia 23 czerwca 1937 r.

6.15 Audycja poranna 12.25 Koncert orkiestry wojskowej 16.00 „W literackim muzeum osobliwości" — szkic 16.15 Pieśni w wyk. Chóru Żeńskiego „Zjednoczone" 16.45 „Pamiętniki żołnierzy" — odczyt 17.00 Koncert w wykonaniu zwiększonego zespołu Stefana Rachonia i Anny Borey — piosenki 17.50 „Samochody i samoloty parowe" — pogadanka 18.15 Muzyka lekka 19.00 „Słynni dyrygenci" — X audycja: Pierro Coppela 20.00 „Na Świętojańskiej Sobótce" — regionalne słuchowisko 21.00 Koncert chopinowski 22.00 „Graj muzyczko graj" w wyk. Krakowskiego Kwartetu Schrammla.

Czwartek, dnia 24 czerwca 1937 r.

6.15 Audycja poranna 12.25 Łódzka Orkiestra Salonowa 16.00 „Z Europy do Ameryki przez biegun" — pogadanka dla dzieci starszych 16.15 Piersi Jana Galla i Bolesława Wallek-Walewskiego 16.45 „Wakacje pracującej matki" — felieton 17.00 Koncert solistów 17.50 „Kolarski wyścig dookoła Polski" — pogadanka 18.15 Wiązanka walców Straussa (płyty) 19.00 Premiera komedii radiowej pt. „Rozwód" 20.00 „Dla Janeczek i Jasiów" — koncert muzyki lekkiej 21.45 „Przygoda Stasia" — opowiadanie B. Prusa (cz. III) 22.00 Koncert solistów.

Piątek, dnia 25 czerwca 1937 r.

6.15 Audycja poranna 12.25 Orkiestra wojskowa 16.15 Drobne utwory Edwarda Griega w wyk. zesp Mandolinistów 16.45 „Z zagłębia naftowego" — reportaz 17.00 Koncert rozrywkowy 18.20 Utwory Alberta W. Ketelbay'a (płyty) 19.00 „Wieczorne serenady" w wyk. ork. T. Seredyńskiego 20.00 „Biała dama" — fragmenty opera 21.45 „Przygoda Stasia" — opowiadanie B. Prusa (dokończenie) 22.00 Muzyka taneczna (płyty).

Sobota, dnia 26 czerwca 1937 r.

6.15 Audycja poranna 12.25 Wiązanki operetkowe (płyty) 16.00 Teatr Wyobraźni dla dzieci młodszych: Słuchowisko „Przygody promyka" 16.30 „Dni Krakowa". Koncert Orkiestry Krakowskiej 17.20 Koncert kameralny 17.50 „Śląsk jako teren krajoznawczy" — pogadanka 18.15 Muzyka lekka (płyty) 19.00Muzyka lekka w wyk. Orkiestry Polskiego Radia 20.00 Audycja dla Polaków z zagranicy: „Fala od Bałtyku" 21.05 „Fabian Tymolski — Lwowski Strauss" — Audycja muzyczna 22.00 Koncert popularny w wyk. Orkiestry Wileńskiej.

HUMOR

MASZYNISTKA

— Zgodziłem panią jako maszynistkę, a pani nie umie nawet taśmy nałożyć.

— Od Paderewskiego także nikt nie żąda, by stroił fortepian.

NARESZCIE ZROZUMIAŁ

Żona przy przyrządzaniu korniszonów mówi do męża: — Ocet konserwuje przecież najlepiej!

Mąż: — Teraz rozumiem, dlaczego wiecznie robisz kwaśną minę!

LOGICZNE

— Łaskawy panie, nic nie jadłem — woła żebrak.

— A czemu nie pracujesz?

— Gdybym pracował, toby mi się jeszcze bardziej chciało jeść.

DŁUŻNIK I WIERZYCIEL

Pewien wierzyciel upomina się u swego dłużnika — kupca o należność.

— Niestety gotówką zapłacić panu nie mogę, lecz jedynie wełną.

— Bardzo proszę, dzisiaj dobrze, jeśli się reguluje długi towarem. Gdzie jest pańska wełna?

Dłużnik prowadzi wierzyciela po całym mieście, następnie za miasto. Gdy znaleźli się na wsi dłużnik mówi:

— Widzi pan ten parkan? Tutaj przechodzące owce często się drapią, zostawiając na parkanie wełnę. Tę właśnie wełnę stawiam panu do dyspozycji.

— Jak pan śmie ze mnie kpić? Jest pan podstępnym bankrutem.

— Niech pan się za bardzo nie gniewa. Z panem jeszcze dość solidnie uregulowałem. Ale co ja pocznę z pozostałymi moimi wierzycielami?

DROBNY SZCZEGÓŁ

Na przejeździe kolejowym bez barier furmanka wpadła pod pociąg, a woźnica odniósł lekkie obrażenia. Jak to tam było naprawdę, trudno ustalić. Dość, że drożnik odpowiada przed sądem. Właśnie złożył przysięgę i zeznaje:

— Robiłem proszę sądu, co mogłem. Machałem latarką i nic nie pomogło.

Sąd uniewinnia dróżnika, wobec czego koledzy składają mu gratulacje.

— Dobrze się broniłeś — mówią.

— Ano, nieźle, nieźle — odpowiada uniewinniony — tylko ciągle się bałem, żeby mnie sąd nie zapytał, czy latarka była zapalona.

BADANIE INTELIGENCJI

Nowy nauczyciel, znalazłszy się na pierwszej lekcji w szkole powszechnej, chciał zbadać inteligencję swych uczniów. Zwraca się więc do pierwszego z brzegu malca, aby ten mu powiedział jakąkolwiek liczbę.

— Siedemdziesiąt sześć — mówi uczeń.

Wychowawca pisze na tablicy „67" i czeka, co z tego wyniknie. Ale wszyscy milczą. Pyta więc drugiego malca w ten sam sposób, przy czym zamiast podanego przezeń „58" pisze „85". Wreszcie za trzecim razem zagadnięty uczeń wykrzykuje:

— Trzydzieści trzy! Chciałbym wiedzieć, jak pan profesor z tego wybrnie...

KONCERT

Zdobywczynię drugiej nagrody na konkursie Chopinowskim, Rozę Tamarkinę spytano, czy będzie koncertować w stolicach Europy. Odpowiedzi za nią udzielił, nieodstępujący ją na krok, jakiś funkcjonariusz sowiecki.

— Nie.

— A dla czego?

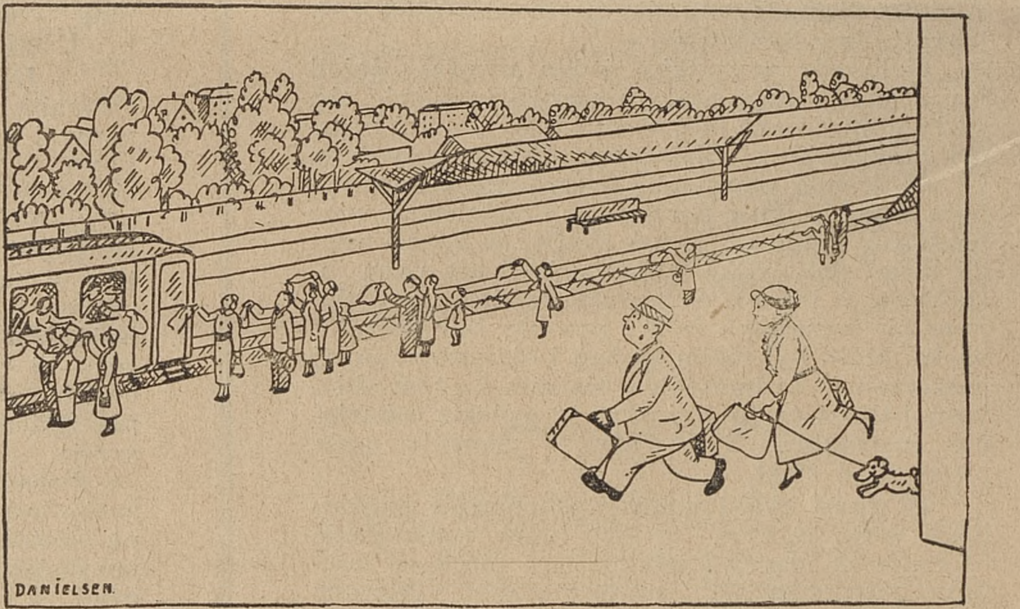
— A przeciw komu ona ma tam grać?...

ROZMÓWKA MAŁŻEŃSKA

— Chciałbym, aniele, żebyś była taka jak mikrofon.

— Taka wrażliwa?

— Nie, tylko żebyś nie przerywała mi, gdy mówię.



Historia, która zawsze się powtarza...

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3,00 złote. Pod opaską i zagranicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50. Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8 P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować „MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— złotych. 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 50 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były zgóry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne à 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów à 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Red. odpow.: Maria Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie